Rok 1900. Lwów, 11. listopada Nr. 57.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 57:



BERTOLD MENKES.

Rozpusta, czy bieda.

W prasie warszawskiej zawrzało. Niepodpisany jakiś autor ogłosił w „Gazecie Polskiej“ artykuł p. t. „Parę uwag o młodzieży uniwersyteckiej“. Natychmiast pojawiły się całe stosy listów do redakcyi, denuncyacyj, hymnów pochwalnych, artykulików, studyów, przyczynków do kwestyi „reformy“ młodzieży.

„Reforma“ pewnej kwestyi dwie ewolucye przechodzi: zaczyna się od wytyczenia zła za pomocą słów — a kończyć się winna na czynach. Zwykle jednak końcem jej są również tylko... słowa.

I tak też w tym wypadku Prawili najrozmaitsi ludzie w prasie warszawskiej o reformie młodzieży uniwersyteckiej mniej, lub więcej dowcipnie, oblekali swe wywody draperyami uczoności, oblewali sosem wielkiej miłości ku tej młodzieży, temu „kwiatowi narodu“ — a na czem się kończyło? — Na słowach...

Dopiero Bolesław Prus w artykule: „Rozpusta, czy bieda“, zamieszczonym w kronice tygodniowej „Kuryera codziennego“, jasno, a przedewszystkiem praktycznie uchwycił kwestyę. Wzrok mając zwrócony ku życiu i jego przejawom w spółczesnem społeczeństwie, nie wdaje się w budowanie konstrukcyj logicznych, odgrywających w tym wypadku rolę zamków na lodzie — jeno, rozbierając objawy zła, nurtującego bezwątpienia wśród młodzieży, wykazuje, w czem jego przyczyna.

Autor artykułu w „Gazecie Polskiej“ żąda od społeczeństwa większego zajęcia się sprawą młodzieży. „Należy — powiada zwrócić uwagę na potrzeby i braki moralne młodzieży uniwersyteckiej, zbadać: co się dzieje w studenckim światku, jakie tam panują prądy i kierunki, jaki duch ożywia młodzież, jak i nad czem panuje, czy ta młodzież nie potrzebuje rady, poparcia, zachęty i nareszcie — czy nie ma wśród niej jakich ujemnych objawów, które należałoby na światło wydobyć i pomyśleć o ich usunięciu?...“

bo:

„Zastęp dzisiejszych studentów uniwersytetu i politechniki zajmie kiedyś najwybitniejsze stanowiska, obejmie ster spraw społecznych, decydująco wpływać będzie na kształtowanie się stosunków krajowych. Jest więc obowiązkiem publicystycznym postawić sobie pytanie: czy ta młodzież w czasie studyów rozwija się, kształci i wyrabia pod każdym względem, aby godnie wiedzieć nadziejom, jakie pokłada w niej społeczeństwo“.

Jakie tedy stosunki panują między młodzieżą?

„Zarzuty, jakie autor robi naszej młodzieży uniwers., dadzą się sprowadzić do następujących:

1) przy wstąpieniu do uniwersytetu lub politechniki i w wyborze wydziału, młodzieżą kieruje przypadkowość „Iluż znam takich, którzy, idąc do uniwersytetu, nie wiedzą jeszcze, na jaki fakultet mają się zapisać“ — mówi autor;

2) młodzież, podczas swych studyów uniwersyteckich, nie uczęszcza na wykłady, nie pracuje systematycznie, lecz tylko podczas egzaminów bierze się do pracy gorączkowej, „cały... zaś... rok unosi się w tych murach uniwersyteckich ciężka atmosfera lenistwa i umysłowego zastoju;

3) młodzież, wstępując na uniwersytet lub politechnikę, kieruje się głównie chęcią otrzymania dyplomu;

a wreszcie, co najstraszniejsza:

Studenci bawią się, bywają w podejrzanych towarzystwach, „wśród młodzieży uniwersyteckiej jest bardzo rozwinięte w stopniu wprost zastraszającym karciarstwo“...

Jako uzupełnienie tego smutnego obrazu stosunków, panujących między młodzieżą, posypały się jeszcze smutniejsze listy do rozmaitych redakcyj.

„Więc jeden z czytelników donosi redakcyi że: „coraz częściej spotyka mundur studencki w towarzystwie znanych bohaterek półświatka“. Drugi zawiadamia, że: w salonach niejednej Fryny warszawskiej bywają przystojni studenci, kochają się w niej, deklamują wiersze i... „piją cudzego szampana“, zapominając wyjaśnić: dlaczego on sam, ów moralista, bywa w podobnych salonach? Wreszcie trzeci dziwi się — „roli, jaką studencki mundur odgrywa na placu wyścigowym, przy paniach z operetki“.

Zatem rozpusta — rozpusta na całej linii, Lasciate ogni speranza...; młodzieży już nie mamy...; zgangrenowana..., wstydzić się jej wkrótce zaczniemy.

„Nie! — powiada Prus wobec takiego wyładowania pesymizmu. Tak źle nie jest. „Muszę usunąć sprawę oskarżania studentów o rozpustę, czy to w formie „karciarstwa“, czy „wypijania cudzego szampana“ i t. p. Jestem pewny, że są studenci, którzy grają w karty, że są i tacy, którzy wałęsają się z „bohaterkami półświatka“, albo „deklamują wiersze w salonach warszawskiej Fryny“. Fakty te jednak, którym nie przeczą sami studenci, nie stanowią zasadniczej cechy tej cząstki naszego społeczeństwa. Bo co się naprzykład tyczy gry w karty, przyszły historyk może przedstawi ją w taki sposób:

„W końcu XIX-go wieku naród polski z upodobaniem oddawał się grze w karty. Więc grali adwokaci, lekarze, inżynierowie; grali duchowni, literaci i nauczyciele; grali kupcy i rzemieślnicy, młodzież uniwersytecka i szkolna; grały matrony, mężatki i młode panny; grała służba, parobcy i pastuchy“.

„Karty stanowią u nas chorobę powszechną, niekiedy wstrętną. Można więc pragnąć, ażeby uchroniła się od niej przynajmniej inteligentna młodzież płci obojej. Ale specyalnie oskarżać o nią studentów — nie widzę powodu“.

A więc, w czem przyczyna zła? Prus ją nam wkrótce powie — powie słowo straszne, bo odnoszące się nie do jednostek, ale całej ich warstwy. Przyczyną zła jest bieda, nędza między młodzieżą.

Powołując się na artykuł Ant. Potockiego o „Uposażeniu młodzieży uniwersyteckiej“, przytacza Prus następującą, tak nielitościwie wielomowną statystykę: 65 proc. studentów musi sobie uzupełniać niewystarczające środki utrzymania, a 25 proc. zupełnie jest pozbawiony zasiłków z domu i utrzymuje się wyłącznie z pracy.

Panowie ci odżywiają się w taki sposób, że — średnio — 75 proc. z pośród nich na śniadanie i kolacyę piją czystą herbatę, do której — średnio — 40 proc. jada suche pieczywo. Ilość zaś spożytego chleba wynosi na śniadanie trzecią część funta i prawie tyleż na kolacyę.

Kwestya obiadu tych panów jest mało zbadana. W każdym razie p. Potocki określa ją w taki sposób: „Odżywianie się studenta warszawskiego można porównać tylko z jedną kategoryą, mianowicie z odżywianiem szpitalnem, lub więziennem. Co do ilości, jest ona pokrewna półporcyom szpitalnym, co do jakości, zbliża się do niewymyślnego stołu przestępców“.

Rezultaty zaś takiego żywienia się są naturalne i zrozumiałe:

60 proc. badanych uskarża się na bóle głowy.

57 pr. — na zdenerwowanie.

50 pr. — zdradza skłonność do chorób piersiowych, a tylko —

9 pr. — nie przebywało żadnej choroby.

Pomimo to, pomimo nędzne nad wszelki wyraz utrzymanie i — zły stan zdrowia, przeciętny student pracuje:

W uniwersytecie i dla uniwersytetu 6 do 9 godzin,

na korepetycyach 2 godz. dziennie.

Wobec tych bolesnych cyfr, niechże kto zechce utrzymywać, że studenta warszawskiego charakteryzuje: karciarstwo, włóczenie się z „bohaterkami półświatka“, albo „spijanie cudzego szampana“. Tego nieszczęśnika charakteryzuje przedewszystkiem bieda, wobec której nawet trudno się dziwić, gdyby był ociężałym w pracy i nie robił postępów w naukach.

„...258-miu studentów uniwersytetu warszawskiego jest zagrożonych wydaleniem nie za karciarstwo, nie za wyścigi i nie za szampana, ale dlatego, że nie mają czem opłacić wpisu“.

Straszne, zgrozą przejmujące zestawienie! Ile łez, ile krwawych dramatów, ile cichych katastrof poza niem się kryje!...

Proszę sobie wyobrazić chłopca z prowincyi, syna niższego urzędnika, lub rzemieślnika, słuchacza uniwersytetu. Rodzice biedni; łożyli na chłopca tyle lat, żądają więc, aby się teraz sam utrzymywał. Chłopak otrzymuje po długich poszukiwaniach posadę u adwokata, lub w jakiemś biurze. Zostaje przepisywaczem z pensyą 15. lub co najwyżej 20 zł. Za tę królewską dotacyę, ma 6 godzin dziennie pracować: od 9—12 w południe i od 3—6 wieczorem. Pomijam tę okoliczność, że praca jest mechaniczną, ciężką, wyczerpującą, duchowo zabójczą, zagważdżającą w młodej duszy wszelką samodzielność — zwracam uwagę tylko na stronę życiową, praktyczną: 20 zł. miesięcznie!... Czy wyobrażasz pan sobie, panie mecenasie, co to znaczy utrzymać się przez 30 dni przyzwoicie (to zn. nie głodząc się) i uczciwie (to zn. nie podpisując fałszywych weksli) za 20 zł.?

Dwanaście zł kosztuje odnajęcie pokoju, wliczając w to opał, światło i obsługę, — ośm zł. obiad — a reszta?... A śniadanie, a kolacya, a bielizna, a książki...

I tak mógłbym wyliczyć długi — długi szereg nieodzownych dla człowieka, żywiącego się chlebem i wodą, a nie ambrozyą i nektarem, wydatków.

Cóż więc dziwnego, że wychowanie młodzieńca się spaczy, miasto się uzupełnić podczas lat uniwersyteckich. Wszak człowiek, któremu się żołądek kurczy z głodu, a mózg ze zmartwienia suszy, nie może myśleć o nauce, o zdawaniu egzaminów, o kształceniu się. A przecież wygłodzonych i nagich ludzi na ulicy nie spotykamy. Cóż się więc dzieje? Jakie moce spieszą na pomoc takiemu, kiepsko na życie uposażonemu osobnikowi? Jak w każdym dylemacie, tak i tu otwiera się przed niedoświadczonem okiem chłopca

szereg bocznych drożyn, na które wstępując, może się wprawdzie chwilowo uchronić od śmierci głodowej, ale tem pewniejszem się staje, że już nigdy nie wróci na szeroki, bity gościniec.

Dwa zwłaszcza są wyjścia najłatwiejsze, ale i najfatalniejsze. Albo dostaje się w szpony lichwiarskie i — marnieje; albo zrzeka się dla zaspokojenia chwilowych potrzeb przyszłości, ambicyi i ideałów, i — również marnieje. Bardzo często można spotkać te dwa spaczone typy akademickie. Proszę zajrzeć do nocnych kawiarni, do trzeciorzędnych teatrów prowincyonalnych, do knajp, w których kwitnie tajemnie gra hazardowa — a spotkać można człowieka wykolejonego, na którego twarzy widnieją niezatarte ślady czasów wyższych aspiracyj i mozołów nad zdobyciem sobie przebojem stanowiska i uznania w swiecie. A teraz: wódka — karty — szpital...

Albo drugi typ. Ten spotyka się w „urzędach pomocniczych“. Siwiutki, skulony starowina, albo podtatusiały urzędniczyna, rozprawiający ze łzami w oczach o przeszłości. Stereotypowe to opowiadanie: był studentem — nie miał utrzymania — nie mógł zdawać egzaminów — a więc został na całe życie „białym murzynem“..

Prawda? Smutne to obrazy... A jednak — niestety — prawdziwe...

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmy.

Ponownie zapewniają, że ku końcowi grudnia zbiorą się Sejmy krajowe na krótkie sesye. Sejm galicyjski ma być zwołany na 21 grudnia. Na tę sesyę ma wejść projekt ustawy, zaprowadzającej samoistny podatek konsumcyjny od wódki w wysokości 20 halerzy od hetolitra. Ministerstwo opracowało już przepisy wykonawcze, które wraz z ustawą weszłyby w życie już z 1. stycznia 1901. Dla osiągnięcia równowagi w budżecie krajowym jest to ustawa pierwszorzędnej wagi.

Klin Klinem.

W dniach ostatnich toczyły się wspólne konferencye ministrów austryackich z węgierskimi, w sprawie budowy kolei bośniackich. Uchwalono wprawdzie budowę linij, łączących kraje okupowane zarówno z Węgrami, jak i z Austryą, jednakże rząd węgierski przeforsował uchwałę, postanawiającą przedewszystkiem połączenie Bośni z Węgrami, połączenie zaś z Austryą ma nastąpić dopiero później. Dla handlu austryackiego jest ta uchwała wysoce szkodliwą i prasa wiedeńska słusznie oburza się na to postanowienie, twierdząc, że rząd austryacki poniósł dotkliwą klęskę. Ze sprawy tej wysnuwa „Politik“ wnioski na sytuacyę parlamentarną w Austryi i pociesza się nadzieją, że krzywda ekonomiczna, wyrządzona przez Węgry całej Austryi, będzie górowała nad innemi sprawami w nowym parlamencie i przyczyni się do chwilowego zaniechania sporów partyjnych. Czesi grożą wnioskiem o postawienie ministerstwa w stan oskarżenia z powodu niefortunnego wyniku układów z rządem węgierskim

Polacy na Bukowinie.

Coraz większy ucisk ze strony Niemców znosić muszą rodacy nasi na Bukowinie. Prezydent kraju, który wiele przyrzekał, nie spełnił ani jednej obietnicy, danej posłom polskim w sprawie uwzględnienia należytej nauki języka polskiego w szkołach. Jest on dzisiaj zupełnie pod wpływem tz. „Niemców chrześciańskich“, którzy postawili sobie za cel, doszczętnie zgiermanizować Bukowinę i ostrze swego działania skierowali przeciw Polakom, jako żywiołowi, liczebnie najsłabszemu. Przy ukończonych właśnie wyborach do Rady miejskiej w Czerniowcach, połączywszy się z Żydami, nie dopuścili oni do wyboru jednego, jedynego Polaka (prof. dra Halbana), którego Polacy pragnęli mieć w reprezentacyi gminnej. Gwałt ten oburzył ludność naszą; oby bynajmniej skłonił ją do ściślejszej organizacyi i większej solidarności!

Sprawa niemieckiego biskupstwa w Czerniowcach zdaje się być na razie zażegnaną. Rzym. kat. konsystorz lwowski stanowczo sprzeciwił się wnioskowi prezydenta Bukowiny i rząd centralny pozostawił cały projekt w zawieszeniu. Polacy bukowińscy uniknęli więc ciosu śmiertelnego, jaki ze strony niemieckiej chciano zadać ich narodowym uczuciom.

Mac Kinley.

Wybór prezydenta Stanów Zjednoczonych przyniósł ponowne zwycięstwo dotychczasowemu prezydentowi, Mac Kinleyowi, który zwyciężył swego kontrkandydata, Bryana, poważną większością głosów. To zwycięstwo jest zarazem aprobatą polityki zaborczej, jaką Mac Kinley zapoczątkował. Za jego bowiem prezydentury Stany Zjednoczone po raz pierwszy poczęły orężem zdobywać nowe terytorya (Kuba i Filipiny) i uczestniczyć w okupacyach wojennych (Chiny).

Z Chin.

Rokowania zastępców mocarstw w sprawie propozycyj pokojowych postępują bardzo leniwo, a tymczasem hr. Waldersee dokonuje „zemsty“ na Chińczykach, zapowiedzianej przez cesarza Wilhelma. Zażądał on wydania sobie miasta Paotingfu, gdzie wymordowano chrześcian, a kiedy, na rozkaz Lihungczanga, miasto poddało się dobrowolnie, ukarał śmiercią wszystkich wyższych urzędników chińskich i zburzył wieże obwarowań, oraz świątyń, co w pojęciu Chińczyków uchodzi za shańbienie grodu na wieczne czasy. Teroryzm ten może stać się bardzo niebezpiecznym dla dalszego rozwoju wypadków, a w każdym razie nie zachęci chyba cesarza Kwangsu do rychłego powrotu do Pekinu.

Słychać, że książę Tuan, którego ukarania domagają się sprzymierzeni, umknął w niewiadomym kierunku, co było zresztą do przewidzenia. Donoszą także o śmierci cesarzowej wdowy, która już parokrotnie ogłaszała się za nieżyjącą, a w chwili stanowczej nagle zmartwychwstawała.

Gorszą jest wiadomość, którą przyniosły ostatnie, chociaż niestwierdzone jeszcze telegramy z Londynu. Oto dowodzący wojskami rosyjskiemi jenerał Leniewicz miał zawiadomić konsulów mocarstw sprzymierzonych w Tientsinie, że obszary, położone po drugiej stronie rzeki Peiho, a naprzeciw osad angielskich i niemieckich anektuje na rzecz Rosyi, jako przez siebie zdobyte. Jest to już zatem początek zaborów na własną rękę. Anglia chce podobno wnieść protest przeciw aneksyi, co może wywołać poważne różnice pomiędzy sprzymierzonymi.

Z Transwaalu.

Prezydent Krüger w rozmowie z dziennikarzem w Dżibuti mówił, że cierpi na oczy, ale zresztą czuje się na siłach, a nadto pokrzepionym przez pomyślne wiadomości z obozu Burów. Do jakiego portu zawinie „Gelderland“ — nie chciał prezydent zdradzić. Z Monachium donoszą, że spędzi on kilka dni incognito w stolicy bawarskiej, a zimę na Riwierze, gdyż zdrowie jego ucierpiało wielce przez przejścia ostatniego roku. Wczoraj jednak nadeszła wiadomość, że Krüger przybył do Port Said i wyląduje w Marsylii.

W okolicy Kimberley, pojawiają się znowu oddziały Burów i nieustannie wystawiają Anglików na niebezpieczeństwo. W odległości 9 mil dwudziestu Burów zaatakowało pociąg towarowy, idący z Kimberley do Boshof, pod strażą kilkunastu żołnierzy i bez strzału zabrali pociąg, a lokomotywę wysadzili w powietrze. I w Transwalu zaszedł podobny wypadek. Niedaleko od Standentom zatrzymali Burowie pociąg, przyczem zabito palacza.

Z KRAJU.

Od chwili rozwiązania Rady państwa ruch przedwyborczy w Galicyi ożywia się z dniem każdym. Walczą ze sobą Polacy, Rusini, stańczycy, demokraci, secesyoniści z obozu demokratycznego, ludowcy polscy, radykali ruscy, socyaliści, stojałowszczycy i drobniejsze grupy polityczne. W oderwaniu się miast od komitetu centralnego, w prowadzeniu walki w zaślepieniu partyjnem bez względu dla sprawy doniosłej, a często byle kandydata upatrzonego przeprzeć i w braku programu ekonomicznego dla kraju należy podkreślić silnie objaw nowych wyborów.

Gdy dawniej wysyłano ludzi najzdolniejszych do parlamentu, dziś wejdzie tam wiele miernot politycznych, które robieniem quasi opozycyi nie zapomną, zdaje się, o swojem: ja. Nowe hasło: zerwanie solidarności w „Kole polskiem“, które nie jest bez grzechu, jest bardzo ponętne dla nieumiejących zdać sobie sprawy z ważności położenia politycznego wyborców, jak też i kandydatów rodzących się, jak grzyby po deszczu. Doprowadzone do wysokiego stopnia hasło narodowe, tak polskie, jak i ruskie, z pominięciem postawienia tak ważnego programu ekonomicznego, stworzy z mieszkańców kraju desperatów narodowych. Od kiedy wre walka przedwyborcza, nie doczytałem się w dziennikach, a trzymam ich kilka, hasła tak wdzięcznego dla wszystkich stronnictw: programu ekonomicznego. Bogaci Czesi i Niemcy, którzy prawie sto lat ssali soki żywotne, a Galicyi nie dopuszczali przez rząd centralny do rozwoju przemysłu, budowy kolei, zabagniali w ministeryach najżywotniejsze sprawy krajowe, mogą się o to dzisiaj spokojnie kłócić, czy ma się mówić dla obrony dumy narodowej „zde“, czy „hier“. Nam tego nie wolno, my potrzebujemy zastanowić się nad naszą kulejącą autonomią krajową, zbadać przyczyny złego, usunąć, co niedobre, a dobrego nie zaskorupiać, tylko iść z duchem czasu, a wtedy zaświta nam lepsza przyszłość.

Jako pierwszy, niczem nie dający się usunąć z porządku dziennego punkt pro-

gramu ekonomicznego, uważam regulacyę rzek galicyjskich. Na taki program powinni się pisać tak wyborcy, jak i kandydaci. Niech każdy z tych ostatnich, bez względu na grupę, do której się zalicza, przyrzeknie, że będzie żądał w Radzie państwa regulacyi rzek galicyjskich, to się zasłuży dobrze krajowi. Sądzę, że gdyby W. Rząd odmówił, odwlekał, ad calendas graecas ważną tę sprawę krajową, powinni reprezentanci Galicyi wprost rządowi takiemu odmówić poparcia. Wysługiwać się, a nic za to nie dostać, to naprawdę głupia polityka. Niegrzeczne dzieci czeskie omal że nie dostały na inwestycyą miasta Pragi 10 milionów zł., byle nie robiły obstrukcyi, a te potulne dobre dziateczki z Galicyi nic nie dostały, prócz okruchów.

Gdyby rząd policzył, co traci na zdolności podatkowej mieszkańców, wskutek powodzi od tylu lat, mienie ludności niszczących, gdyby policzył owe zwrotne, bezzwrotne zapomogi, udzielanie nagłego wsparcia, przeznaczanie funduszów znacznych na roboty publiczne, by ludność od głodu uchronić, to dawno już sprawa regulacyi rzek w Galicyi weszłaby na inne tory. Za mało nam się wszystkim wody za kołnierz nalało, że igramy z nią, jak z ogniem. Zatem ratujmy się, póki czas, a czas już najwyższy. Jeżeli nowy parlament nie potrafi z powodu rozmaitych nowych prądów, jakie w nim nurtować będą, funkcyonować, a próba nowa ewentualnie nie pomoże, to niechybnie nastąpi zawieszenie konstytucyi, a sławny 14-ty paragraf pocznie hulać. W rządzie centralnym mały procent urzędników Polaków, nieprzychylni Czesi i Niemcy, mało o kraj nasz dbać będą, a regulacya rzek spychana będzie na uboczne miejsce, ale ci, co zawinią, jako mężowie zaufania kraju, ciężką wezmą na siebie odpowiedzialność. Rzucam więc nowe hasło wyborcze: „Regulacya rzek galicyjskich.“

Stanisław Bohdanowicz.

K. R.

Pogląd na historyę rolnictwa w Polsce.

(Fr. Rawita-Gawroński. Studya i szkice historyczne. Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1900).

(Dokończenie).

Historya innych narodów szuka w teoryi najazdu, w teoryi odmiennego pochodzenia klasy podbitej, a klasy ujarzmiającej, ogólnej podstawy dla zrozumienia czynników, powodujących różniczkowanie społeczne i tworzących całokształt ekonomiczno-społeczno-politycznych warunków. Teorya ta dla Polski wystarczająco umotywowaną nie jest. O wiele prawdopodobniejszą *) wydaje się hypoteza wspólności szczepowej szlachty i nie szlachty. U słowiańskich narodów wogóle, w szczególności zaś u narodu polskiego w procesie tworzenia się odgrywa zasadniczą rolę nie ród, a ród (gens). Ziemia była rodową własnością, z tej zaś przetworzyć się musiała we własność rodzinną i prywatną.

W XIII. i XIV. wieku spotykamy jeszcze ślady tej pierwotnej organizacyi rodowej. Krewnym np. przysługiwało prawo sprzeciwienia się sprzedaży włości rodowych, bliżsi zaś krewni mieli nawet prawo odkupu. W XIII. wieku spotykamy ślady t. zw, „consuetudo terrae“, prawa zwyczajowego, że przy sprzedaży dóbr rodowych potrzebnem było zezwolenie całego rodu jako warunek prawomocności tej sprzedaży. Dłużej jeszcze otrzymał się nawet zwyczaj, że każdy, kto zamierzał uskutecznić sprzedaż swych dóbr rodowych „patrimonium“ (ojcowizny) musiał poprzednio trzykrotnie ten zamiar swój ogłosić, a to w tym celu, aby krewni możność wystąpienia z jakiemiś swemi pretensyami. Ojciec musiał przy sprzedaży włości rodowych mieć zezwolenie synów. Często się zdarzało, że cała familja, składająca się z bliższych i dalszych krewnych, wspólnie gospodarzyła i wykonywała prawa własności majątku ziemskiego.

Równocześnie z temi formami własności wspólnej i rodowej, będącemi zabytkiem epoki wcześniejszej, spotykamy i osobiste prawo własności ziemi. Tytuł własności pochodzi w tych razach, albo z kupna, albo jest nadany przez władzę książęcą, lub królewską Im częstszemi się stawały wypadki sprzedaży i kupna ziemi, im silniejszą stawała się władza królewska, tem bardziej przybiera własność prywatna osobista cechy przyjętego systemu.

Ponieważ wszystkie niezaludnione i niezagospodarowane obszary, do których nikt sobie pretensyi własności nie rościł, były według przyjętego prawa własnością korony, więc i zaludnienie się kraju, zagospodarowywanie niezaludnionych przestrzeni i zakładanie nowych folwarków, wniosło w stosunki prawno-społeczne coraz bardziej pojęcie prywatnej własności ziemi, nadanej przez króla. Na miejscu rodowej organizacyi wyrasta nowa organizacya społeczna. Pojęcie prawno-społeczne rodu się zaciera, społeczne znaczenie przechodzi zaś na przedstawicieli potężnych rodowych tradycyi, którzy zajmują uprzywilejowane stanowisko w otoczeniu monarszem są na wojnie najbliższymi wykonawcami rozkazów króla, a w czasie pokoju przedstawicielami jego władzy na zewnątrz (comites). Król nadaje im obszerne dobra gdzie mają sprawować rządy w jego imieniu, jako urzędnicy, lub nawet lennicy, niemniej obdarza ich rozległymi obszarami niezaludnionemi, pozwalając im uważać się za zupełnych właścicieli, zaludniać i zagospodarowywać je wedle upodobania.

Na gruncie i pod wpływem tych oto czynników zaczęła się dokonywać ewolucya ekonomiczna, stanowiąca najciekawszy proces w dziejach naszych ekonomicznych, mianowicie przekształcanie się własności wspólnej w indywidualną.

W Statucie wiślickim ujawnia się stale dążenie do utrwalenia tej nowopowstałej formy indywidualnego władania ziemią, a mianowicie oddział o „pospolitem dobrem“ zawiera niezmiernie obfite wskazówki co do form przepisanych, jakie się zrodziły w tym okresie przełomowym przekształcania się własności wspólnej w indywidualną.

W drugiej połowie XIV. wieku widzimy w Wielko- i w Małopolsce istniejące obok siebie obie formy władania ziemią: własność wspólną i osobistą.

Ponieważ jednak stosowany na wielką skalę przez Kazimierza W. system czynszowy i kolonizacyjny, który niezmiernie przyspieszył przekształcenie się własności wspólnej w osobistą, nie wywarł tak silnego wpływu na Litwie i Rusi, jak w Mało i Wielkopolsce, a zatem w tych, bardziej odległych od środowiska prowincyach dłużej przetrwało forma czystej rodowej własności.

Organizacya gospodarstwa folwarcznego dokonała się też naturalnie wcześniej w Wielkopolsce i w Małopolsce, niż na Litwie i Rusi. Była ona zwrotnym punktem w dziejach rozwoju ekonomicznego, zrodziła w ostatnich swych konsekwencyach system wielkiej uprawy, niewolę chłopa, eksport zboża zagranicę, nadała całemu społeczeństwu zupełnie odrębną cechę, którą dopiero polityczny upadek Polski i usamowolnienie włościan zetrzeć potrafiło.

Nie było moim zamiarem pisać ocenę „Szkiców historycznych“. Zebrałem tylko szereg myśli i poglądów, które w pewnym systematycznym ładzie nasunąć się muszą czytelnikowi po przeczytaniu szkicu, dotyczącego historyi rolnictwa. Wystarczająco to chyba świadczy o wartości pracy, która wymownie dowodzi że historyczno-ekonomiczna literatura nasza ma prawo oczekiwać od p. Rawity-Gawrońskiego wyczerpującego dzieła w tym zakresie.

*) Porówn. prof. O. Balzer. Rewizya teoryi. Lwów 1898.

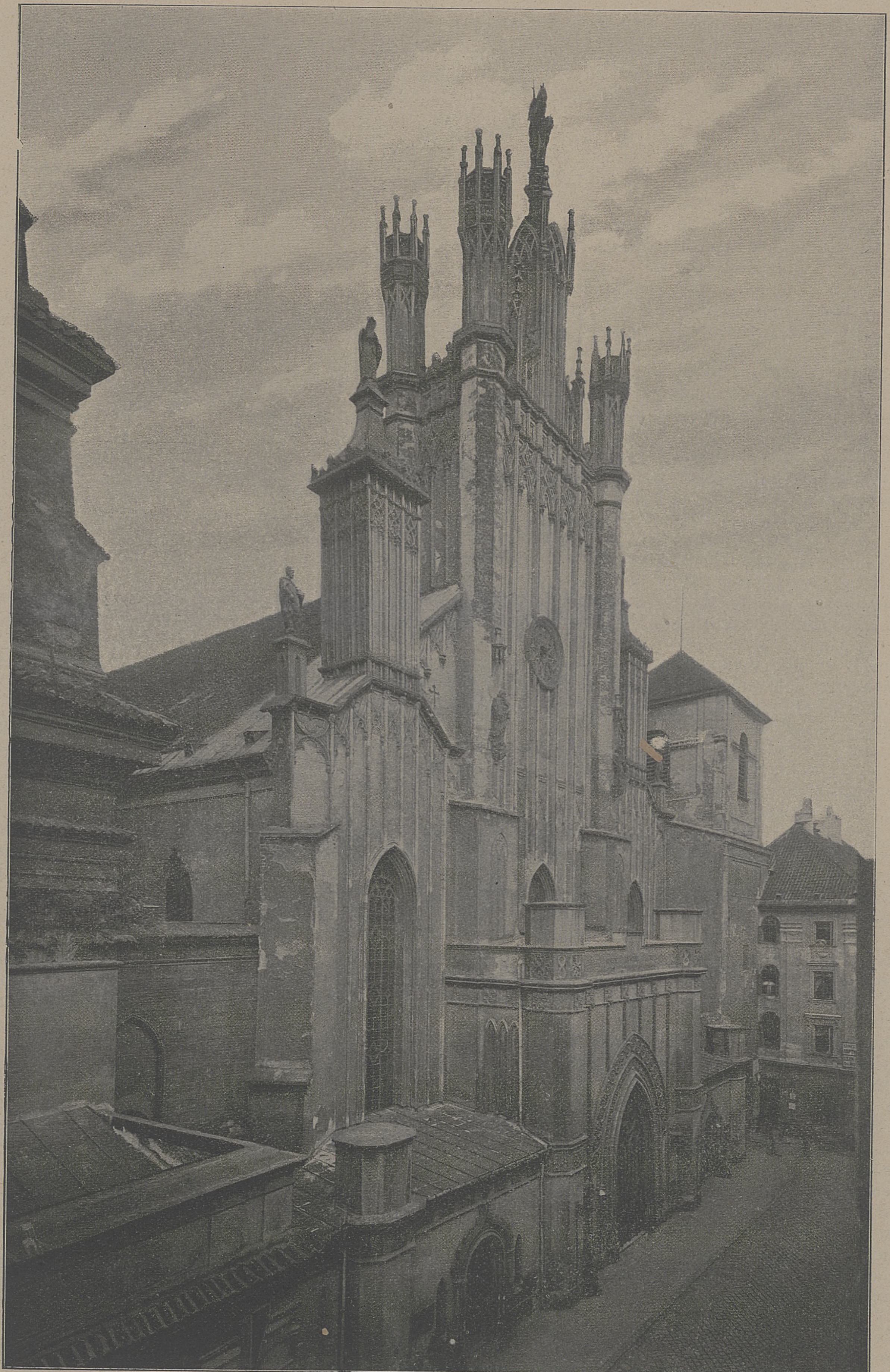
Z tygodnia.

Po dłuższem osieroceniu, została nareszcie obsadzoną jedna ze stolic biskupich w Galicyi; arcybiskupem i metropolitą lwowskim mianowany został ks. dr. Józef Bilczewski, profesor i tegoroczny rektor wszechnicy we Lwowie. Nominacyę tę powitano z zadowoleniem w całym kraju, mimo bowiem młodego wieku, (urodził się w r. 1860), ks. Bilczewski cieszy się zarówno szacunkiem osobistym, jak i powagą męża głębokiej nauki, o światłym, postępowym umyśle. Jako demokrata z przekonania, a gorliwy badacz kwestyj społecznych, nowy ks. arcybiskup, wprowadzając w życie teorye encykliki Leona XIII. o sprawie socyalnej, może w czasach dzisiejszych przyczynić się wiele do należytego rozwiązania tej kwestyi w kraju naszym. Ks. dr. Bilczewski uczynił swe imię popularnem i sympatycznem, zwłaszcza przez swe przemówienie (o wiekach XIX. i XX.), wygłoszone na uroczystość inauguracyi roku szkolnego na wszechnicy lwowskiej przed paru tygodniami. Było to, jakby wyznanie wiary nowego księcia kościoła, a uzyskało poklask powszechny.

Niebawem nastąpi nominacya biskupa rz. kat. w Przemyślu. Zostanie nim ks. dr. Pelczar.

*

Bolesna wiadomość nadchodzi z Morawskiej Ostrawy, gdzie przed niedawnym czasem Polacy wybudowali sobie wspaniały „Dom polski“. Architekt Bandrowski, który dom ten budował i miał zarząd funduszami budowy, umknął, sprzeniewierzywszy kilkadziesiąt tysięcy koron. Schwytano go w Wiedniu, ale bez pieniędzy i zbadano, iż nie jest żadnym Bandrowskim, ale uciekinierem z Rosyi, że nazywa się Badowski i jest zwykłym oszustem. Skutkiem tej defraudacyi i zaciągniętych na budowę znacznych długów, Towarzystwo Domu polskiego zamierza likwidować, jeżeli nie znajdzie pomocy z kraju.



KOŚCIÓŁ ŚW. JANA W WARSZAWIE.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

II.

Demonstracya.

Ruch niezwykły na ulicach miasta świadczył nazajutrz, że w Siekierzynie coś się święci.

Gimnazyastów wszędzie było pełno. Widziano ich wchodzących co chwila do innych domów, widziano zamieniających na ulicy przy spotkaniu krótki znaczący uścisk i pytających kolegów z odpowiednim mrugnięciem oka: „Będziesz?“ — a zapytany zawsze odpowiedział: „Będę“; często też dodawał w formie informacyi: „mam ze sobą piętnaście sztuk bagażu“. Oznaczało to w żargonie uczniowskim, że piętnaście osób ze sobą przyprowadzi; a więc — matkę i dwie ciotki — to sześć, dwie ich kuzynki — to ośm, młodszego brata i trzech siostrzeńców — to czternaście i jednego pudla, który strasznie kwiczy, gdy mu się na ogon nastąpi — to piętnaście. A że nie wszyscy mogli być powiadomieni o istotnym celu tajemniczej przechadzki na dworzec, więc niektórzy gimnazyaści używali najdziwniejszych pozorów, aby tylko przywabić na dworzec jaknajwiększą liczbę osób. Jedni opowiadali, że przejeżdżać ma pociągiem o w pół dwunastej w nocy cesarz, wracając z polowań w Rominten wraz z całym dworem swoim, inni znów zapowiadali przyjazd cyrku Barnuma z dwudziestu słoniami i czterdziestu lwami, — inni wreszcie, a zdarzało się to w patryotycznie usposobionych rodzinach, opowiadali o jakoby cichaczem otrzymanej wieści, że to będą przejeżdżać studenci z Królestwa, których całe grono właśnie wydaliła policya berlińska za jakąśtam agitacyę i całą gromadę wsadziła do pociągu, jadącego w stronę Aleksandrowa. Dla tych rzekomych studentów niejedna panna piękny bukiecik sobie przygotowała w celu uczczenia ofiar pruskiej bezwzględności.

Policya absolutnie niczego się nie domyślała; odpoczywała właśnie po „szczęśliwie“ przeprowadzonej sprawie, w której udało się na dwa dni do kozy zamknąć kataryniarza za to, że wygrywali na swej katarynce „Boże coś Polskę“.

Właśnie tego wieczora policyanci umówili się na komers wspólny i o wpół do dziesiątej wieczorem zgromadzili się w restauracyi „*Zur deutschen Eiche*“. Jaki taki, będąc na posterunku służbowym i nie mogąc brać udziału w ogólnej pijatyce, tęsknie spoglądał ku oświetlonym oknom restauracyi, w której ucztowali jego koledzy.

Szara noc zwolna zapadała, przed dworcem kolejowym stało kilka dorożek, dwóch czy trzech tragarzy, certujących się zawzięcie o kufry podróżującego kupca, jedynego pasażera pociągu, przybyłego z Leszna, a w przedsionku kolejowym przechadzał się powolnym krokiem policyant, przystawał co chwila, uchem łowił w dali niknące dźwięki pieśni biesiadujących swych kolegów, potem zdejmował hełm z miną człowieka, który po dokonaniu wielkiego dzieła ma prawo do odpoczynku, — i porównywując swój zegarek ze stacyjnym zegarem, wiszącym w przedsionku, myślał: Oto jeszcze jeden pociąg — z Wrocławia o jedenastej (na tym będzie mało pasażerów) i wreszcie kurjer z Berlina o wpół do dwunastej — i koniec. Potem będzie pół tuzina kufli piwa, ryk ogromny „*Deutschland, Deutschland über alles*“ — i spać: a jutro dzień wolny od służby.

I żandarm ocierał swą czerwoną chustką czoło spocone, na którem perliły się grube krople potu, — nakładał hełm na głowę i miarowym krokiem zaczynał chodzić po dworcu.

Tragarze przestali się kłócić o kufry i zgodę zapijali przy kieliszku żytniówki. Kasyer kolejowy zdrzemnął się przy swem okienku. Na jednej ze stojących w poczekalni ławkach spał na gołych deskach jakiś zmęczony podróżnik czwartej klasy. Jedną rękę zwinął w kułak i podłożył pod głowę, drugą trzymał na kufrze drewnianym, obwiązanym sznurkami i wsuniętym pod ławę, sznurki zaś okręcił sobie koło ręki, aby we śnie nie spuścić z uwagi kufra który zawierał pewnie cały jego majątek. Na jego podwiniętych nogach ułożyła się, jak mogła najlepiej, mała sześcioletnia dziewczynka, owinięta szalem włóczkowym, a koło niej mały piesek, brudny, nieokreślonej rasy. — Człowiek ten od czasu do czasu wydawał z siebie głośne chrapanie, po którem za każdym razem wydobywało się jakieś niewyraźne słowo z ust dziewczynki i głębokie westchnienie pieska, którego męczyły złe sny: dokąd oni też jadą, czy im tam gdzieś między obcymi będzie lepiej, niż tutaj było, czy głód i chłód trapić ich będzie.

Jedyny, przeznaczony dla nocnej służby kelner drzemał w kącie sali, a panna siedząca za bufetem, korzystając z ciszy, zajęta była odczytywaniem swej rozległej prywatnej korespondencyi.

Cały dworzec kolejowy zdawał się uśpiony. Odezwał się wreszcie sygnał pociągu, nadchodzącego z Wrocławia. Żandarm, spacerujący po krużgankach dworca, porównał raz jeszcze swój zegarek z zegarem kolejowym. Kelner przetarł oczy, poprawił kołnierzyk i stanął przed lustrem, aby rozczochrane włosy przyprowadzić do porządku, — panna przy bufecie zapaliła spirytus na maszynce z kociołkiem, zawierającym kawę, a tragarz chwiejnym krokiem podążył na peron. Jeden tylko śpiący na ławie przejezdny nie ruszył się wcale.

Kilka dorożek zaturkotało przed dworcem — aż wreszcie pociąg z Wrocławia przyszedł. Wysiadło paru kupców, jeden rządca, wracający z targu wełnianego z mocnem opóźnieniem i nadszarpaną kasą.

Urzędnicy kolejowi porozmawiali z personalem pociągu i pociąg świsnął. Po chwili znowu nastąpiła cisza i żandarm pogrążył się w swych rozmyślaniach.

Niebawem jednak zostały one przerwane pojawieniem się kilkunastu osób, które zajęły miejsce w sali klasy drugiej. W chwilę później żandarm ujrzał całą gromadę podążających na dworzec ludzi najrozmaitszego stanu, a zanim jego badawcze z pozoru, a głupie w gruncie rzeczy spojrzenia odprowadziły nowoprzybyłych do drzwi, prowadzących na peron, lub do poczekalni — już wyłaniały się z ciemności nowe postaci. Żandarm się dziwił — ale nic nie myślał. Dziwił się, że oto pani Matuszyńska, znana z tego, że najczęściej od sąsiadów pożyczać musiała po parę marek, aby dzieciakom swym zgotować obiad i wieczerzę, oczekiwała kogoś, kto przyjechać miał kuryerem i to mającym tylko pierwszą, lub drugą klasę...

Dziwił się, że szereg osób, znanych mu z widzenia, oczekiwał widocznie kogoś, a on, reprezentant władzy państwowej, ani się domyślał — kogo. Spojrzał ku okienku kasyera — i ujrzał, że kasyer też się dziwi, bo z powiększającej się coraz bardziej gromadki ludzi nikt jakoś nie zjawiał się, aby kupić bilet.

Żandarm myślał z natężeniem — i nie był w stanie nic zrozumieć. Złościć go to poczynało niewymownie. Zbliżył się do kilku marnie ubranych, młodych ludzi, rozprawiających o czemś zawzięcie i zapytał swym ostrym basowym głosem: po co tu panowie przyszli o tej porze na dworzec?

Zapytani — byli właśnie czeladnicy z piekarni Rudzkiego, dobrą zatem mieli szkołę.

Żandarmowi odrzekł jeden od niechcenia: „Aby się na pana popatrzeć, wachmistrzu“.

— „Bez żartów, moi panowie“, odrzekł wachmistrz.

— „Niech pan nam głowy nie zawraca“, z trudnym do opisania wyrazem pogardy odrzekł drugi i odwrócił się do wachmistrza tyłem.

Żandarm był wściekły. Od grupy czeladników piekarskich przeszedł do innej. Ujrzał tam swego sąsiada, kupca z przedmieścia, pana Sęczkowskiego. — „Pójdziemy na kufel piwa do bufetu, panie Sęczkowski“ zapytał go, siląc się na uprzejmość.

„Nie“ — odrzekł zapytany — „jestem tu z rodziną. Kiedyindziej, panie wachmistrzu“.

„A państwo tu oczekują kogoś?“ zagadnął wachmistrz.

„Tak“ pospieszyła z odpowiedzią żona Sęczkowskiego — „właśnie oczekujemy kogoś“.

Wachmistrz dał za wygranę i obróciwszy się na pięcie — poszedł jeszcze w gorszym humorze. Wtem spostrzegł przed dworcem około klombów, pokrytych cieniem nocy, gromadkę niedorostków i malców. Tu już wzięła go ostatnia pasya.

„Hej, smarkacze, zawołał — ruszać mi stąd precz! Czy to i wy może czekacie na kogo?!“.

Jeden śmielszy wysunął się z gromadki i rzekł: „Czekamy na mego ojca“.

Żandarm się grubym basem roześmiał: „A to chyba twój ojciec na loteryi wygrał, że jeździ teraz kuryerem pierwszą klasą?“

„A ino, że wygrał“ odciął się rezolutnie chłopak.

„Ta-ak?!— zawołał zaperzony żandarm, — pokaż no, co masz w tem zawiniątku pod pachą!“

Chłopak trwożliwie się cofnął i chciał uciekać w krzaki, ale na pomoc mu przyszedł Stefek Rudzki i rzekł: „pokaż, pokaż“.

Żandarm zawiniątko rozwinął i zobaczył jeden rondel, jak do pieczenia bab na Wielkanoc, i jednę patelnię. Obejrzał te przedmioty z wielką uwagą; teraz już nic nie rozumiał! Nie wypuszczając ich z rąk, rzekł: „pewnieś ty to ukradł komu!“

Stefek Rudzki wystąpił i rzekł:

„Mój ojciec, piekarz Rudzki, kazał mi w mieście wypożyczyć naczyń kuchennych i tutaj przyprowadzić chłopaków na pociąg, bo przyjeżdża pan Danielewski z Berlina, jedzie do Załęża i na odchodnem chce wielki bal wyprawić, a mego ojca zamówił do pieczenia ciasta. Więc te wszystkie rondle włoży się na bryczkę pana Danielewskiego“.

Jakby na potwierdzenie słów Stefka, zaturkotał właśnie powóz z Załęża. Stefek Rudzki wskazał go żandarmowi.

Szanowny przedstawiciel władzy wobec tego cofnął się na swój posterunek. Tymczasem zapełniały się sale poczekalne a i przed dworcem na świeżem powietrzu przechadzała się liczna gromadka.

Gwarno i rojno było na dworcu kolejowym, gdy wreszcie sygnał został dany, że pociąg berliński już zbliża się do stacyi. Chłopcy, którzy pod wodzą Stefka Rudzkiego stali w zbitej gromadce, ukryci w cieniu klombów, nie oświetlonych latarnią, pozostali nieruchomi i w chwili gdy ogromna lokomotywa kuryerskiego pociągu z sapaniem i syczeniem wjechała na dworzec, zdaleka niosąc blask, przebijający się wśród kłębów pary i dymu z jej obojga płonących, jak ślepie u smoka, latarni.

Część osób zebranych znajdowała się już na peronie i z ciekawością zwracała oczy ku pociągowi, zajeżdżającemu na relsy, gdy w sali przeznaczonej dla pasażerów, gdzie spał snem strudzonych nieznany człowiek z córeczką i pieskiem, zaszła niemiła scena. Kelner, sądząc może, że dużo gości przyniesie mu ten pociąg, albo może będąc zły na nieznanego człowieka, który nie kazał sobie nic podać, lecz, jak kłoda, już od dziewiątej wieczór spoczywał na ławce, zbliżył się do śpiącego i zaczął go szarpać za ramię: „Hej, panie, tu nie miejsce i pora wylegiwać się. Za pół godziny dworzec będzie zamknięty“.

Nieznajomy przetarł oczy i patrzył przez chwilę na kelnera, potem rzekł głosem człowieka, u którego senność panuje nad całym umysłem: „Nie, nic nie potrzeba“ — odwrócił się twarzą do ściany, a tyłem do kelnera i zaczął spać dalej. Kelner nie ustąpił. „Ruszać mi stąd zaraz, łazęgi jakieś“ krzyczał, wymachując serwetą nad śpiącymi. Nieznajomy człowiek wydał z siebie niewyraźne jakieś mruczenie i kilkakrotnie wierzgnął nogą w stronę kelnera. Zabłocony but jego pozostawił na zatłuszczonym fraku kelnera ślad widoczny. Kelner rzucił się, jak oparzony ku żandarmowi. „Włóczęga jakiś, bez noclegu widocznie, może nawet biletu czwartej klasy niema, a rozwalił się tu na ławie jakby u siebie w domu! Przeklęte Polaki — woła kelner — myślą że dworzec kolejowy to hotel, albo zajazd, gdzie się nic nie płaci“.

Żandarm, który tłumił w sobie gniew z powodu rozmaitych niewyjaśnionych dla dla niego okoliczności, rad był zemstę swą wywrzeć na kimkolwiek. Podszedł więc do ławy i zaczął szarpać śpiącego. Gdy namowy i groźby nie pomagały, a nieznajomy spał dalej, żandarm chwycił go nagle za kark i skulonego, ze zwieszoną ze snu głową, postawił przed sobą. „Ruszaj stąd precz!“ huknął na niego zgóry.

Pozbawiona oparcia na ojcowskich nogach, dziewczynka stoczyła się niespodziewanie na ziemię i z płaczem wstawała, a psina z ujadaniem rzucił się na wachmistrza, kąsając go zajadle po nogach. Żandarm, nie puszczając z garści nieznajomego, kopnął psa z całej siły, aż zwierzę z wielkim jękiem potoczyło się ku ścianie i łbem o pobliski piec uderzyło.

Tymczasem stanął pociąg, a z przedziału pierwszej klasy wysiadł pan Danielewski, w jedwabnej nocnej czapeczce na głowie, z wybornem cygarem w ustach, w długim wygodnym haweloku; za nim posługacz wyjmował z wagonu elegancką walizkę i torebkę skórzaną.

Napastowany przez żandarma człowiek zaczął wołać: Puśćta jeno. Czego wy od nas chcecie, ludzie? My jedziemy taj do Berlina, panie wachtmajster!

— Ruszaj do wszystkich dyabłów, huknął żandarm. Dworzec zamykają! Pociąg do Berlina odchodzi o wpół do piątej rano!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Klemens Podwysocki.

ORZEŁ.

I.

Nad morzem, na gór stromych wyżynie, zwinięty
W pierścień srebrny, wąż patrzał w wód sennych
[odmęty.

Dzień był skwarny, w bezbrzeżnym blasków oceanie
Słońce iście gorzało! Wąż sierdził się na nie.

Gad, światłości nieżądny, uwagi swe czyni:
„Co orły ukochały sobie w nieb pustyni?...“

„Gdzie tam spocząć?... Gdzie pokarm znaleźć bodaj
[jaki?
Głupie orły, sokoły! Głupie, próżne ptaki!“

„Lataj, lataj pod niebo, orle, czy sokole!
Ja, płód ziemi, więc po niej i czołgać się wolę!“

Potok w bryzgach, do morza rwący się szalenie,
Rzekłbyś, źrebię stepowe, skacząc przez kamienie,

Przerwał węża monolog. Wąż spojrzał w zwierciadło
Wód uśpionych — aż oto zgóry coś upadło...

II.

Był to orzeł z rozbitą piersią, we krwi cały,
Wydał okrzyk i bił się bezsilny o skały.

Wąż zląkł się, lecz gdy ujrzał, że ptak we krwi broczy,
Ośmielił się doń zbliżyć i zajrzeć mu w oczy.

Rzekł: „Umierasz, biedaku?...“ Orzeł dumnem okiem
Zmierzył węża i rzecze z westchnieniem głębokiem:

„Tak, umieram! Lecz wzniosły żywot był mi dany!
Jam skrzydeł mych potęgą roztrącał orkany!“

„Pod niebiosa zwycięskim wzbijałem się lotem!
Kąpałem się w tem oto blasków morzu złotem!“

„Ha! Tobie ani marzyć o takiej wyżynie!
Ty, na brzuchu się czołgać potrafisz jedynie!“

Wąż odpowie szyderczo: „Co mi po wyżynie!
Tam—pustki! Tam—za chmurą chmura tylko płynie“.

„Wy, w dumie nierozumnej sławą się łudzicie!
Wy, w zapasach z gromami narażacie życie!“

„Ja, czołgam się po ziemi! Tak! I zgniję w ziemi,
Jak i wy, z dumą waszą i skrzydły lotnemi!“

III.

Lecz orzeł go nie słucha! Nie!.. Chwały niesyty,
„O, gdybym mógł — zawoła — wznieść się znów
[w błękity!“

„Raz ostatni pod niebios pobujać namiotem,
Spojrzeć w słońce zwycięsko, i... i zginąć potem!“

Krew ze skrzydeł otrząsnął... Podniósł się, lecz nagle
Skrzydła zwisły, jak burzą zdruzgotane żagle!

Upadł!... A wtem go potok szalony dogoni —
I razem z trupem jego znika w morskiej toni!

Wąż, ujrzawszy na morzu plamę tylko krwawą,
Rzekł z uśmiechem szatana: „Żegnaj orla sławo!“

Lecz morze się zbudziło!.. Z fal morza zabrzmiała
Pieśń: „Walecznym do skonu—cześć wieków i chwała!“

Adam Krajewski.

Przyczynek do historyi czasów saskich w Polsce.

W korespondencyi państwowej Fryderyka Wielkiego, króla pruskiego, założyciela monarchii pruskiej, wydanej w Lipsku r. 1762, znajdujemy szereg listów, odnoszących się do wojny z cesarzową Maryą Teresą austryacką o Śląsk. Są tam między innemi listy, pisane w tej sprawie bądź bezpośrednio do Augusta III. Sasa, wciągniętego przez dwór wiedeński chwilowo do sojuszu z nim, bądź do wielkiego hetmana koronnego i wszechwładnego Brühla, w którym król pruski, zaniepokojony możliwą dywersyą ze strony wojska saskiego, pragnie sojusz ten udaremnić, co mu się też ostatecznie — niestety — udało.

Listy te ciekawe są z dwu względów: raz dlatego, że wykazują one całą perfidyę krzyżacką, z jaką Prusacy od wieków występują, powtóre, że wobec dzisiejszych stosunków naszego narodu do Prus, warta posłuchać, z jakiemi pochlebstwami zwracał się król pruski do rządu polskiego, gdy mu chodziło o całość skóry i przeprowadzenie zaborczych planów.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy, zwłaszcza dla czytelników, niezagłębiających się zbyt nadto w badania historyczne, objaśnimy, że zanim Fryderyk wydał Maryi Teresie wojnę, zupełnie niby lojalnie, według instrukcyi danej posłowi pruskiemu w Wiedniu z daty 15. listopada 1740 r., ofiaruje cesarzowej: 1) zupełną opiekę i pomoc całej swej siły zbrojnej dla utrzymania w posiadaniu domu austryackiego wszystkich dzierżaw niemieckich; 2) przystąpienie do przymierza z dworem wiedeńskim, Rosyą i z mocarstwami morskiemi; 3) dołożenie wszelkich starań, aby dopomóc księciu lotaryńskiemu (mężowi cesarzowej) w uzyskaniu tytułu i godności cesarza; nakoniec 4) i jego zdaniem najważniejsze, dwór, — gdziekolwiekby się tenże znajdował, utrzymać zawsze w stanie obronnym (czyli innemi słowy mówiąc, trzymać go pod silną strażą) i dać dla zasilenia prawdopodobnie pustego skarbu państwowego Austryi, d w a m i l j o n y guldenów w gotówce.

Za wszystkie te „dobrodziejstwa“, zażądał małej bagatelki, mianowicie odstąpienia mu na własność c a ł e g o Ś l ą s k a.

Niedźwiedzia ta propozycya odrzuconą została w Wiedniu, dzięki interwencyi księcia lotaryńskiego, który jasno przewidział, że król pruski tym sposobem dojść chce do korony cesarza niemieckiego. To spowodowało przebiegłego Fryderyka do próbowania ustępstw. W liście mianowicie do posła swego w Wiedniu, hrabiego Gottera, z daty już 7. grudnia 1740, proponuje, że zgodzi się na odstąpienie mu części Śląska, jeżeli nie całego, ale równocześnie stawia warunek, ażeby k r ó l o w a w ę g i e r s k a zawarła z nim sojusz zaczepno odporny, wedle dodanych poprzednio punktacyj.

Nie zgodzono się w Wiedniu i na to z łatwych do zrozumienia powodów, a tymczasem chytry Prusak stał oddawna pod bronią, gotów do najazdu; zaledwie bowiem sześć dni od wysłania wyżej wymienionego listu upłynęło, wyszła w dniu 13 grudnia 1840 z Berlina proklamacya wypowiedzenia Austryi wojny i rozkaz do wojska wkroczenia w granice Śląska.

„Z Bożej łaski Fryderyk, król pruski, margrabia Branderburgii, Świętego rzymskiego państwa Arcy-Podkomorzy i Kurfirst itd. itd.“ zawiadomił dwory, „że wkracza do Śląska celem „windykacyi“ tej prowincyi na zasadzie prawa odwiecznego swego rodu i swego pokrewieństwa z w Bogu spoczywającymi przodkami, panującymi na Lignicy, Brzegu itd. itd.“

Poczęła się więc owa nieszczęśliwa wojna, zakończona chwilowo pokojem w Dreźnie r. 1746. Prusy wzrosły po niej we większą potęgę, a nieszczęśliwa Polska skłaniała się czem raz więcej do upadku, nurtowana intrygami własnych ministrów, wysługujących się obcym dworom.

W korespondencyi tej króla pruskiego, znajdujemy dopiero w r. 1745 w maju, a więc w czasie, kiedy dwór wiedeński przynaglony potrzebą, zwracał się nawet do tak słabych sąsiadów, jak Polska wówczas, o pomoc — pierwszą o nas wzmiankę:

Jestto list pisany:

Do hetmana wielkiego koronnego, dnia 6. maja 1745.

Mości Panie Wielki Hetmanie koronny!

„Sprawozdano mi z wielu stron, że 6 regimentów, które Król Polski całkiem świeżo w Polsce zorganizował, otrzymało rozkaz udania się na granicę Śląska, aby księstwo to tem lepiej splądrować, zanim wkroczy armia saska i rozpocznie kroki nieprzyjacielskie przeciw mojemu państwu.

Gdy jednak na mocy traktatów, jakie nas oddawna z Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską łączą, chcemy z nią żyć w pełnej przyjaźni i porozumieniu, będziemy więc starać się niezłomnie, porozumienie to utrzymać i potęgować je, co dla pewnych interesów naszego państwa potrzebne jest bardzo i zbawienne.

Przypuszczamy tedy, że Rzeczpospolita może przyzwolić, lub uchylić takie przedsięwzięcie, które korzyściom dobrego sąsiada może być właśnie przeciwne i jesteśmy pewni, że naród polski zbyt jest zadowolony ze swego pokoju i dobrobytu, aby się nie miał odważnie sprzeciwić takiemu postępowaniu, analogicznemu z wypadkami, które zaszły z początkiem bieżącego stulecia, a które pociągnęły za sobą wiele nieszczęśliwych i smutnych następstw, jakie się i obecnie zdarzyćby mogły gdyby nie dołożono starań do sprzeciwienia się takowym.

Gdy znamy dobre i szczere usposobienie Jego Majestatu Króla Polskiego, jakoteż Jego skłonność do unikania tego wszystkiego, coby mogło zakłócić dobrobyt i spokój Rzeczypospolitej, nie możemy pojąć tego, jak mógł się skłonić do postępowania, które to wszystko wywołało, i które z ustawami i konstytucyami Jego Królestwa tak widocznie jest sprzeczne

Gdyśmy w międzyczasie otrzymali wiadomości o tem z pewnych i sumiennych źródeł i wśród takich okoliczności, że musimy im dać wiarę, iest nam pewnem, że szczerość Jego Majestatu przez złych doradców na szwank narażoną została, i że przedstawiono Mu stan rzeczy inaczej, niż jest w rzeczywistości.

Ponieważ zupełnie szczerze pragniemy żyć z Jego Majestatem w niezachwianej zgodzie i harmonii, tak co dotyczy Królestwa Polskiego, jak i Jego dziedzicznego kraju i gdy nie mamy zamiaru pierwsi nikogo zaczepiać, sądzimy, że nie możemy nic lepszego uczynić, dla uniknienia wszelkich nieprzyjemności, jakich naturalnie należałoby się obawiać, jak zwrócić się do Pana, jako jednego z najpierwszych poddanych Rzeczypospolitej i stojącego na czele siły zbrojnej. Wobec tego łatwiejsze to będzie dla Pana i bardziej w jego możności, wszystko to odwrócić, coby mogło wyjść na szkodę szczęściu i spokojowi Rzeczypospolitej, zachwiać system obecny, już zagrożony i narazić ojczyznę na pożar wojny, zapalającej się właśnie w jej łonie.

Czynimy to z zupełnem zaufaniem; jesteśmy bowiem przekonani, że godność Pańska i powaga posłużą mu do tego, aby Króla Polskiego od podobnych przedsięwzięć odciągnąć i tem samem odwrócić nieszczęścia, jakieby z tego powodu wyniknąć mogły. Niemniej wierzymy, że nie dopuścisz Pan, aby te nowo w Polsce utworzone regimenty przedsięwzięły kroki nieprzyjacielskie w naszem państwie, mianowicie w księstwie śląskiem, lub na granicach królestwa, bądźteż w przemarszu przez inne prowincye.

Spodziewamy się, że Pan weźmiesz ten ostatni punkt pod rozwagę; pochlebiamy sobie także, że utrzymanie Śląska dla mieszkańców Polski nie może być obojętnem, tak z uwagi na handel wogóle, jak i z uwagi na korzyści i pożytki, jakie urosły im ze zbytu ich towarów w tej prowincyi od czasu, odkąd się ona w mojem posiadaniu znajduje.

Zbędnem mi się wydaje, prosić Pana o rzecz, do której się Pan skłania zapewne i bez tego, jako dobry patryota, a co Pan okazałeś już przy sposobnościach, wiadomych całemu światu. Pozwolisz Pan tylko, że go zapewnimy, iż jeżeli Pan ochronisz ojczyznę od tych widocznych nieprzyjemności, dasz Pan nam w ręce nowe powody do odnowienia naszego dla Niego szacunku i życzliwości przy każdej sposobności, z jakiemi zostaję ***Fryderyk***“.

Pismo to było wystosowane, rozumie się, dla zamydlenia oczu hetmanowi; osobno bowiem i jeszcze w dniu 8. września 1744, z obozu pod Pragą, pisał król pruski do swego kanclerza Wallenrodta, ażeby starał się ująć sobie Brühla, wiedział bowiem dobrze, jak wszechmocny wpływ ten u króla posiadał, a i u możnowładców polskich. Powiada on w tem piśmie, że jeżeli Brühl dołoży wszelkich starań, aby porozumienie między królem polskim a pruskim i cesarzem sprowadzić, natenczas on, Fryderyk, postara się o to, ażeby cesarz podniósł Brühla do godności księcia Rzeszy niemieckiej i zarazem wydzielił mu udzielne księstwo. Zapłata za trudy, jak widzimy, nie była wcale małą i wartą zachodu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

(Ciąg dalszy)

SZKIC ETNOLOGICZNY.

I. GWIAZDY i GRZYBY.

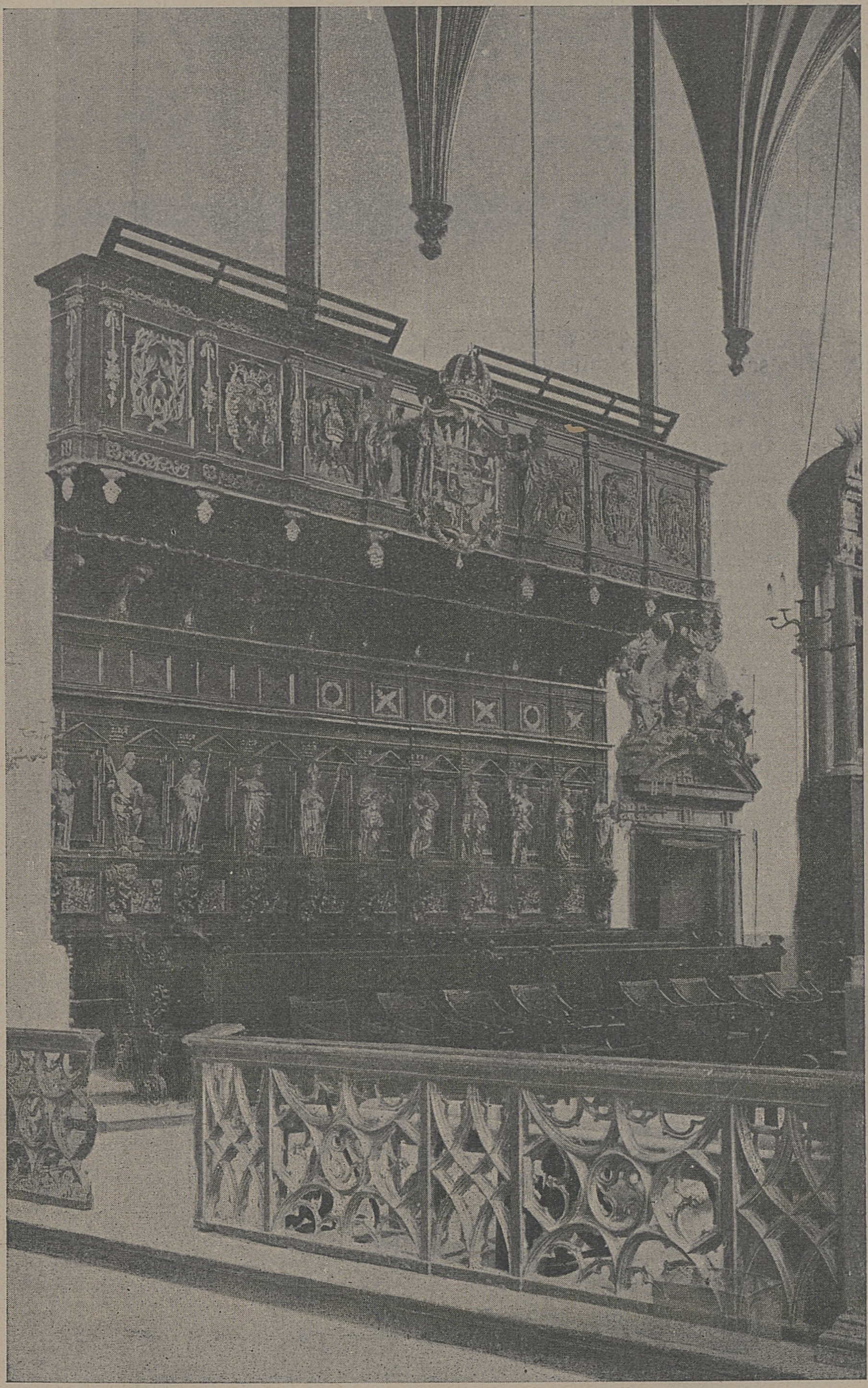
Wypaliwszy lasy, otwarto drogę dla wiedźmy głodawicy, która zaczęła sioła co roku nawiedzać, A była to istota tak żarłoczna, iż nawet z pod samych ust porywała ludziom kęs chleba, pojadłszy przedtem już wszelkie zapasy. Zaczęto tedy przemyśliwać, jakby jej zamknąć drogę. Chłopi zagrodzili przerąb, usypali wały, ale to nic niepomagało. Znachorowie radzili straż stawiać uzbrojoną widłami — zrana jednak znajdowano bez duszy — a zwłoki ich obsypane grzybami (ssawkami-borodajkami). Pewien pustelnik poradził wtedy, aby wykarczować pniaki i uprawić ziemię, bo na zoranej roli nie może powstać ani upiór, ani strzyga, ani też wiedźma — albowiem grunt taki jest poświęcony. Usłuchali ludzie rady — lecz zanim ukończyli robotę na rozległej przestrzeni, to powymierało karczowników siła, bo czepiały się ich ssawki napastliwe i odbierały im moc i ducha. Wymarnieli wszyscy ci, co palili bory. Ustąpiły przecież w następne lata dokuczliwe bedki z pola, i tłumem przyczaiły się pod bukami, niby w cieniu szukając opieki drzew starych.

Niechętnie zbiera lud i dzisiaj owe podbuczki-ssawki, zupełnie przecież nie gardzi niemi; zapasu na zimę nie robi się z nich wcale.

Za najtwardsze grzyby jadalne uważają włościanie ruscy (wieś Łozina, Dąbrowica, Stawki, w Gródeckiem) tz. Rypozy albo Skrypije. Lud polski nazywa je ogólnem mianem „Wapników“, a względnie na kształt ich różnoraki — miarkami, miechami lub kubkami, bo bywają większe i mniejsze, plaskie i kielichowate. Z koloru są brudnobiałe. Rosną we wszystkich lasach, niekiedy w takich rozmiarach, iż z jednego grzyba będzie dwa litry gęstej strawy. Surowe są tak twarde, iż chodząc po nich, nie łamią się, tylko trzeszczą i skrzypią i stąd u Rusinów ich nazwa „Skrypije“. Zapasu z nich nie robią także, choć w niektóre lata nader obficie rosną, kosić je wtedy można, jak trawę — powiadają chłopi. W taki rok spodziewać się można napewno, że zima będzie nawalna śniegiem — ale i dobry urodzaj na żyto.

Po „Rypozach“, ostatnie w później jesieni pojawiają się „Panny“, które w przeciągu jednej zimy stają się „Babkami“ krzykliwemi i zapalnemi, jak o tem już wspomniano poprzednio.

Nie sądzę bynajmniej, abym niniejszemi zapiskami wyczerpał podaniowe grzyboznawstwo gminu, choćby pod względem terminologji; we wielu okolicach kraju naszego bedki i huby mają poboczne jeszcze nazwy, a zapewne i legendowe ozdoby. Toż pomiędzy trującemi „Psiukami“ istnieje już wielka rozmaitość przezwisk jak: gałki, dżdżyce, lejki, ule, tabakierki, (purchawki), świoki, czuby, etc., nie mówiąc o imionach, według Mickiewicza: „znanych tylko w zajęczym, lub wilczym języku“, lecz zapiski te mogą posłużyć za zachętę do dalszych poszukiwań dla osób, interesujących się ludoznawstwem.



Stalle w katedrze św. Jana w Warszawie.

II. ROŚLINY U LUDU.

Rozmaryn.

Myt roślinny w Polsce, to pole obszerne, rozległe i dotąd prawie nie badane, pomimo, iż ważnym jest on nader dla badaczy pomroką stuleci okrytych przedchrześciańskich czasów Słowiańszczyzny, bo w nim, jak nić czerwona, snują się wspomnienia dawnych, pogańskich guseł i obrzędów, bogów i bogiń, w nim odbija się głęboko badawczy i spostrzegawczy umysł prostego ludu, a zarazem i dziwna zabobonność, dziwny pociąg do nadzwyczajności, choćby urojonej tylko, do rzeczy nadziemskich i cudownych. Siła tradycyi u ludu jest tak wielką, że zaprowadzenie chrześciaństwa, wszelkie wystąpienia duchowieństwa nie mogły nawet dotąd wyrugować z pamięci ludu, ani nawet przemienić o wiele dawnej wiary i dawnych obrzędów. Inaczej też być nie mogło i nie może; w pierwszych wiekach chrześciaństwa, gdy wiara nowa u samych jej opowiadaczy przyćmioną była zabobonem i ciemnotą, lud starał się łączyć dawną pogańską wiarę i zwyczaje z nowemi wymaganiami. Zmieniano więc czas obrzędów, wiarę w nadzwyczajne i cudowne rzeczy stosownie do potrzeby i naginano je do nowych pojęć, ale zawsze pierwotna myśl pozostała i dziś jest jeszcze widoczną, a do utrwalenia jej przyczyniło się i zamiłowanie wielkie ludu do dawnych wspomnień i podań, skrzętnie i wiernie z ust

do ust przechowywanych. Ukochał też lud szczerze swój rodzinny zakątek i w nim utworzył dla się odrębne cechy, odrębną wiarę i zwyczaje, całą drogą dla siebie — że tak się wyrażę — malutką ojczyznę. Nic dziwnego więc, że góralowi milsze są strome wirchy i przepaście, niż gmachy miast naszych, że Litwinowi zdaje się, iż niema rzeki nad Wiliją, a drzewa nigdzie tak wdzięcznie i harmonijnie nie szumią, jak nad brzegami Niemna i Niewiaży, że Ukrainiec szaleje za stepem, a Mazur lubuje się w swych piaskach, Pińczuk w bagnach, a Żmujdzin w ryku bałtyckiej burzy, bo dusza jego jest związana z rodzinnym jego zakątkiem jakiemiś nierozerwalnemi węzłami, jakąś tajemniczą, niczem niezmożoną siłą. W tym maleńkim zakątku wszystko mu droższem i milszem i „ludzie są tu lepsi i kwiaty piękniejsze, i słońce jaśniej świeci, i słowik piękniej śpiewa“ [1]) — wogóle przyroda cała w piękniejszą i jaśniejszą szatę, niż gdzieindziej przystrojoną mu się być zdaje. Lud nasz ma bowiem bardzo żywe uczucie dla przyrody i ono wpływa na jego indywidualność, na umysłowy rozwój, na pogląd jego na życie, ludzi, na świat cały. Zjawiska przyrody, nie pojętne często dla jego rozumu, wytworzyły w bujnej fantazyi jego prześliczne postaci mityczne, zwierzęta, ptaki i rośliny czarodziejską obdarzyły siłą; we wszystkiem widzi on jakąś niewidzialną rękę, czyny nieznanych mu duchów, coś nadzwyczajnego i nadprzyrodzonego. Lecz nietylko lud nasz obdarzył zwierzęta i rośliny czarodziejską siłą, są to po większej części zwierzęta i rośliny, którym cudowną siłę i inne indo-europejskie ludy przypisują.

Lecz przystąpmy do naszego założenia. Celem mym jest zaznajomić czytelników „Tygodnika Narodowego“ w poszczególnych monografiach z mytem roślinnym w Polsce. Na polu tem, oprócz broszury prof. Z. Morawskiego z Tarnowa p. n. „Myt roślinny w Polsce i na Rusi“ obszerniejszych prac nie posiadamy prawie żadnych; mam nadzieję przeto, że może praca moja przyda się kiedy jakiemu badaczowi do skreślenia mitologii roślin na wzór Gubernatis'a „La mythologie des plantes“ i że ja choć drobniuchną cegiełkę do tego dorzucę.

Głównym przedstawicielem kwiatów, które lud nasz cudowną obdarzył siłą i bez których polski szczególniej wieśniak przy obrzędach wesołych i smutnych, tak podczas wesela, chrztu, jak i pogrzebu obejść się nie może, jest rozmaryn.

Skąd pochodzi jego nazwa, trudno wiedzieć, on jest jedynym obok ruty kwiatem, który mimo szerokiego użycia ludowej nie nosi nazwy, bo podobnie nazywał się już u Rzymian, a Pliniusz [2]) wywodzi nazwę od *rosa marina*, twierdząc, iż powód do niej dały jego piękne kwiaty i przyjemny zapach. Ojczyzny jego szukać trzeba nad brzegami Śródziemnego morza, co i Kluk [3]) potwierdza, mówiąc o nim: „kocha się w ciepłych krajach, zwłaszcza przy morzu, przeto z łacińskiego wykłada się, jako róża morska“, a któryś z niemieckich uczonych XVII. stulecia wyraża się o nim, iż: „tak przyjemny i silny zapach wydaje, że żeglarze na kilka mil wokół go czują“.

Kiedy został wprowadzony i pierwszy raz użyty w Polsce, nie wiadomo. W Niemczech miał skrzętnie rozpowszechnianiem jego i uprawą zajmować się Karol Wielki, u nas musiał prawdopodobnie być już prędzej znanym. Zyskał też rozmaryn dość poczesne miejsce wśród roślin i wiele innych piękniejszych i przyjemniejszym zapachem obdarzonych kwiatów nie może poszczycić się taką miłością i szacunkiem, jakie lud rozmarynowi okazuje. Najlepszym dowodem, jak cennemi ludowi są kwiaty rozmarynu, jest po dziś dzień śpiewana w Kieleckiem piosenka:

„Stoi oset przy drodze nigdy nie tykany
A rozmaryn wykradają przez największe ściany.“ [4])

Kto więc go pod ręką nie ma, wykrada go przez największe ściany, a przecież to, co się wykrada, musi cennem być i mieć jakąś wartość.

Obchód weselny w całej dawnej Polsce, Litwy nie wyłączając, nie mógł się odbyć bez rozmarynu. Pominąwszy już to, że Litwini nim nawet alus (piwo domowej roboty) przyprawiali, [5]) weźmijmy tylko na uwagę, jak potrzebnym był był przy każdej ceremonii weselnej, użyty już to jako wieniec, już to, jako bukiet i z pewnością wieśniak nasz uważałby ślub, przy którym państwo młodzi nie ustrojeni w rozmarynu kwiecie się ukazali, za coś nadzwyczajnego, za coś niezwykłego, nieprawidłowego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Z pieśni ludowej.

[2]) Plinius, Hist nat.

[3]) Kluk, Rośliny.

[4]) Kolberg. Lud etc.

[5]) Bezzenberger. Litauische Forschungen.

L. Doczi

SONET.

Biada tej, która sercem nikogo nie darzy,
Lecz, jak bóstwo, blask siejąc, za hołdami goni,
Nigdy hymnów nie syta, ni kadzideł woni,
Które miłość rozsiewa u stóp jej ołtarzy.

Biada tej, której serce w milczeniu się skarzy,
Której oko tajemnie łzę rozpaczy roni —
Tak, jak gołąb zraniony, siedząc na ustroni,
Ginie — niepostrzeżony wśród leśnych cmentarzy.

Lecz stokroć biada owej, którą dola zmusza
Tam o miłości mówić, gdzie milczy jej dusza,
A milczeć — gdzie przysięga słowa z ust jej płoszy:

Tak miłość jej z przysięgą w wiecznej jest rozterce,
Serce łamie przysięgę, a przysięga serce —
Ona grzeszy w czystości, a cierpi w rozkoszy...

Tłum. Z.



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

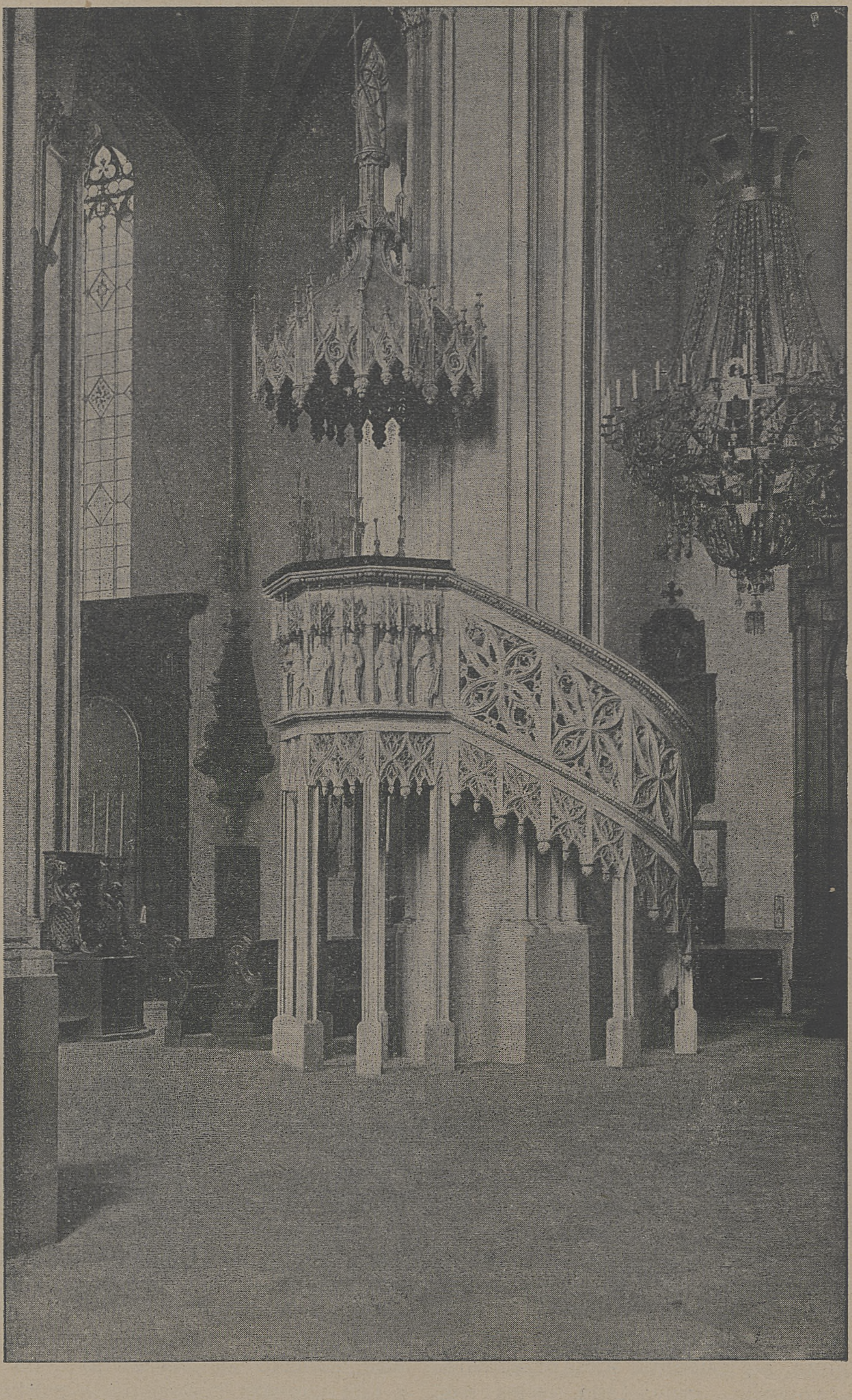
(Ciąg dalszy.)

V.

Wschodzące słońce padło na białuteńką, jak śnieg, głowę staruszka — po ubiorze księdza można było poznać — wychodzącego z modlitwą poranną z dworku, pod Warszawą stojącego. Księżyna mógł mieć lat 60, lub więcej, a wiek ten pozostawił ślady na jego postawie, niewielkiej i suchej. Ale nietylko długi wiek, lecz i gorzkie zawody, zmartwienie i gorycze i wogóle wszystko, co świat ofiaruje swoim wychowańcom, wzamian za zaufanie, z jakiem się jemu oddają, to wszystko wyryło się na czole przez te zmarszczki i w oczach, z których przebijał się smętny wyraz; po nim poznać można było, że ksiądz kanonik, Józef Giełza, należał dotych ludzi, którzy po krótszej, lub dłuższej wędrówce, usuwają się innym z drogi, ze słowami na ustach: „Nie spotkało mię to, o czem marzyłem — uchodzę bez żalu do nikogo. Nie umiałem snać stworzyć sobie szczęścia". Ale choć tak mówią i o ile możności chcą to czynami potwierdzić, jednak w zaciszu do końca życia zachowują tęsknotę za niedoścignionym ideałem.

Życie ks. Józefa było właśnie w ten sposób rozpoczętem i w ten sposób się kończyło. W dzieciństwie stracił ojca, a że ten w wychowaniu bywa zazwyczaj przedstawicielem realnej strony życia, przeto śmierć jego pozbawiła go zarazem na dalszy przebieg i zdrowego poglądu, bez jakichkolwiekbądź uprzedzeń. Wychowawczynią była matka, kobieta dobra i zacna, którą już to zadowoliło, że syn żył podług tradycyi, bez wybryków współczesnych, a na zahartowanie duszy niewiele zwracała uwagi, tak, że gdy już mężczyzną prawie, dochodzący trzydziestu lat Józef, utracił matkę, zmroził go brak ciepłodajnej dłoni macierzyńskiej. Jak zwykle i teraz znaleźli się usłużni przewodnicy, którzy krzycząc na śliskość i nierówność drogi życia, podjęli się przeprowadzić przez nią Józefa, tembardziej, że olbrzymi majątek, jak na owe czasy powszechnych suchot kieszenianych, obiecywał sowite wynagrodzenie. Marzycielstwo wygórowane, uchroniło go przynajmniej od wyzucia się ze wszystkiego, co święte, ale mimo to od szwanku nie uchroniło W gronie bawiących w Warszawie lekkich, Franciszek poznał istotę rzeczywiście czarującą i najzimniejszego wzruszyć mogącą, ale niegodną stanowiska, jakie jej chciał zrobić w rodzinie Giełza. Francuska chętnie widywała majętnego młodzieńca koło siebie, nie mniej jednak, gdy poznała jego zaślepienie, nie przeszkadzało to jej zjednywania i utrzymywania sobie i z innych stron przyjaciół. Miłość i wieczna tęsknota za jej widokiem, zrobiły z Józefa nieodstępnego jej i wszystko przebaczającego niewolnika. Nie porzucił jej nawet wtedy i tam, kiedy i dokąd niktby po nią już ręki nie wyciągnął. On zrehabilitował jej honor, gdy porzucona matką została, on zamknął jej powieki na zawsze, z słodkiemi słowy przebaczenia na ustach, on zajął się pozostałą dzieciną. Ale po zerwaniu ostatniej nici, łączącej go z życiem — co stało się po śmierci ukochanej — opadły mu ręce, a to, co przeżył, nauczyło go „patrzeć" — zapóźno, wtedy wyrzekłszy sobie zwykłe słowa wspomniane, usunął się za kulisy i stamtąd patrzał na scenę życiową, po której pierwsze kroki stawiać począł, jedyna droga mu istota, spadkobierca miłości czynnej ks. Józefa, Władysław, któremu wynaleziono obcą zupełnie nazwę Paracki. Tak więc wstąpiwszy do stanu duchownego, Giełza zza płotu chlebem, jak drudzy kamieniami, obsypywał Władysława, który postępowaniem swojem wynagradzał opiekunowi dobry uczynek, sam zaś ksiądz Józef, zostawszy księdzem, wyrobił sobie pozwolenie mieszkania za miastem, skąd tylko wyjeżdżał do pobliskiej parafii, dla odprawiania mszy św., a czasem, na większe święta do Warszawy.

Jak się pokierował Władysław, wiemy z samego początku opowiadania; skoro poznał o co rzeczy w Ojczyźnie chodzą, przyłączył się natychmiast do partyi dzielnych konfederatów, zapominając, że mógłby spokojnie pędzić życie w domu, mając zło-



Ambona w kościele św. Jana w Warszawie.

żony na swoje imię znaczny kapitał przez ks. Józefa. Walecznością swoją dobił się odrazu stopnia pułkownika; co było pod Lanckoroną, wiemy. Ks. Józef zaledwie słów kilka niepewnych połapał o bitwie pod Lanckoroną, ale o wychowanku, choć miesiąc już mijał, głucho było, jak w grobie, tylko w modlitwie za żywych wspominał go jeszcze opiekun nieustannie podczas mszy. Bał się myśleć o tem, aby go zmietli, jak innych w bitwie.

Takie były stosunki bliższe pułkownika i jego opiekuna, który, jak to zaczęliśmy opowiadać, mimo wczesnego ranka a swojego wieku, wyszedł już na dwór z modlitwą na ustach. Przed dworkiem krzątała się już gospodyni księdza, staruszka ośmdziesięcioletnia, o której trzeba tu jeszcze słów kilka powiedzieć, jako o powiernicy księdza Giełzy. Zdala od świata i od ludzi nie mógł się starowina powstrzymać, aby nie zwierzać się przed kimś; z pani Maryi, dalekiej swej kuzynki, zrobił on sobie swego spowiednika; ta o wszystkiem wiedziała, nie było myśli, lub zdarzenia w życiu ks. Józefa, o któremby nie wiedziała. A że trwało to już od lat przeszło dwudziestu, znała go więc, jak siebie samą. Dobrze z tem było obu staruszkom, osobliwie ks. Giełzie, który z natury był zawsze otwartym. A zresztą miał ulgę, gdy w zmartwieniu wygadał się przed kimś, przed drugim sobą.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dzień dobry ks. kanonikowi, odezwała się staruszka pierwsza. „A co to tak pozaranki dzisiaj?“

Ksiądz domówił „Ojcze nasz“ do końca, potem odparł: Na wieki wieków Amen! Dzień dobry! Ot, dobrodziko, wstyd to się na starość i duchownej osobie przyznać, że go sen przykry wygnał z łóżka. „Nadarmo mówiłem sobie sto razy „Sen mara, Bóg wiara“, od godziny po północy oka zmróżyć nie mogłem“.

Staruszka pokiwała głową:

„Sen mara, Bóg wiara“, powtórzyła. „Pewnie ksiądz kanonik trapi się od tygodnia myślami niepotrzebnie, mało je i dlatego śni mu się po nocach. Ot, wczoraj, nie słuchał mię jegomość, kiedy prosiłam, żeby zjadł jeszcze kawałek mięsa i poszedł głodny spać“.

Ks. Giełza, jakby nie słyszał tego, co gospodyni mówiła, zapatrzony w jeden punkt smutnemi oczyma, rzekł:

„Jest, jest się czego trapić. Miesiąc mija od rozprawy pod Lanckoroną, a Władek gdzie? Toteż skoro tylko zasnąłem, widzę dużo ludzi, wymachują rękami, niektórzy oblani krwią, prawdziwie tak, jak w bitwach bywa, a między nimi Władek, ale jedna ręka tu, druga tam, a nogami ledwie broni się od następującego konia. A z jaką męską boleścią patrzał na uciekających dokoła konfederatów. Po chwili widzę, a on znowu nogami na pędzącym koniu, a głowa na ziemi wlecze się po trupach. I było tak rozmaicie już. nie pamiętam jak, a biedny Władek tuż tuż koło śmierci. Co się z nim stało, bodaj czy nie tak...“ i starzec westchnąwszy, obtarł łzę, staczającą się z oka.

Zawsze w takich smutnych chwilach, jeżeli jedno ze staruszków miało zmartwienie, to drugie uważało za swój obowiązek nie poddawać się temu, lecz z wesołą miną pocieszać współtowarzysza. Tak i teraz, choć pani Maryi na płacz się zbierało, ale nie chciała jeszcze więcej księdza roztkliwiać i o ile możności wypogadzając twarz rzekła:

„No, no! jegomość kanoniku!“ a głos drżał jej ze wzruszenia, „przecież „sen mara a Bóg tylko wiara“. A zresztą, gdyby mu się co złego przytrafiło, to wiesz Jegomość, że byłoby to dla Ojczyzny najpierw, a potem pokuta za grzechy matki. Ale tak żleby Pan Bóg nie zrządził — pewniebyśmy już wiedzieli o tem“ — na więcej słów pociechy powiernica nie mogła się już zdobyć, a i to co powiedziała, to czuła, że niedostatecznem i niebardzo do brem lekarstwem było, owszem przy słowach „pokuta za grzechy matki“, staruszek skrzywił się i niecierpliwie machnął ręką jakby chciał z łajaniem wybuchnąć. Ale po uspokojonej już nieco twarzy, poznać można było, że świeże powietrze poranne otrzeźwiło go nieco z wrażenia, jakie sen sprawił. Po chwilce milczenia, zabierając się do odejścia wgłąb sadu, rzekł: „Niech będzie, co Pan Bóg dał, ale dobrodziejko moja, ja jadę do Warszawy. Kilka dukacików rzuconych pomiędzy ludzi, dostaną języka o Parackim, lepiej dowiedzieć się o nieszczęściu, niż...

Gdy słońce już dość wysoko stało, zebrał się ksiądz Józef i na bryczce swojej z sporym zapasem dukatów „dla rozwiązania języków policyjnych“, jak mówił, ruszył do miasta. Jak tam się sprawił i czego dokonał, nie wiadomo, ale w kilka godzin po południu, wrócił uradowany i jakby odmłodzony do dworku, gdzie z ciekawością oczekiwała go pani Marya. Zlazłszy z bryczki, raźno, jakby nie starcem, ale jeszcze mężczyzną był, wbiegł przez schodki do sieni, a stamtąd do jadalnej izby. „No, moja dobrodziejko!“ zawołał trzaskając z radości drzwiami. „Już to prawda że sen mara“. Tylko sza, dobrodziejko! będziem mieli gościa wieczorem, i tu zniżywszy głos, począł jej szeptem opowiadać gdzie był i co zrobił, podczas gdy ona przygotowywała obiad. Ksiądz niewiele jadł a z błyskającego radością oka poznać można było, skąd pochodził brak apetytu.

Zachodu słońca nie mógł się naturalnie, biedaczysko, doczekać. Z troskliwością niezwykłą czyścił kilkakrotnie klatki z kanarkami, karmił własnoręcznie psy, opatrywał ptactwo i drób, aż gdy za laskiem skryło się słońce, wszedł do izby i zmęczony usiadł na fotelu koło okna, myśląc, że wkońcu nadeszła oczekiwana chwila. Ale niestety! dzisiaj dopiero zauważył, jak długim jest wieczór w lecie, jak długim czas od zachodu słońca aż do zupełnej nocy. Czytał więc jedną z najczęstszych lektur ówczesnych „Żywoty świętych“ i na skrócenie czasu znalazł nareszcie jeden ciekawy ustęp, nieczytany jeszcze, „o aniołach“, który tak go zajął, że gdy około dziesiątej pod oknami zaszeleściało a przez otwarte okno ktoś wskoczył do środka, niemało się zląkł. Tym, co odważył się naruszać spokój szanownego staruszka, był oczekiwany Paracki, znany nam już zbliska. Ale trzebaby aż takiej znajomości, jak nasza, albo takiej, jak ks Józefa, aby w tym czarnym węglarzu, poznać dzielnego pułkownika.

„Ojcze!“ „Synu mój“, zawołali obaj równocześnie, jeden ściskając za kolana, drugi obejmując głowę klęczącego.

„Jesteś więc, zdrów i żywy!“, odezwał się po chwili milczenia ks. Józef. „Ale czy takie niebezpieczeństwo ci grozi, że aż przebierać się musiałeś?“ zapytał z trwogą w głosie.

„Nie, ojcze dobrodzieju! Nie chodzi mi o życie, bo jeszcze na to nie śmieją się porywać, ale chodzi o to, bym nie był szpiegowany. Muszę bywać u wielu osób znacznych w stolicy, co zwróciłoby uwagę nieprzyjaciół i mogłoby wzbudzić podejrzenia“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bertold Menkes.

O GRZE SCENICZNEJ.

(Z powodu wystawienia „Zaczarowanego Koła“ — Rydla).

Dobitnie przejawia się różnica, zachodząca między pojmowaniem „roli“ przez artystów byłego teatru hr. Skarbka, a przybyłych z Krakowa.

Rzec można, iż na obu tych scenach panować musiała zupełnie odmienna kultura artystyczna, która potworzyła indywidua wybitne, ale zupełnie sobie przeciwne. Scena lwowska prowadziła s y s t e m p o p i s o w y, krakowska e n s a m b l o w y.

Przyzwyczailiśmy się we Lwowie, idąc do teatru, pytać poprzód: „A czy Markiza Pozę zagra Żelazowski? A czy Tartuffem będzie Chmieliński? A Kozodojem Feldmann?... Przyzwyczailiśmy się dalej artystów, występujących na scenie a nie mających roli popisowej, bagatelizować, uważać za szare tło, na którem z tem większą jaskrawością zabłysnąć ma ta, lub owa patentowana wielkość sceniczna. Przyzwyczailiśmy się bezwględnie poddawać się wrażeniu, jakiego doznawaliśmy, przypatrując się tak, lub owak popisowej roli popisowej. Bo któżby śmiał kontrolować w duchu, lub co więcej, wytknąć publicznie „niezrównanemu“ pewne niewłaściwości w pojęciu, lub usterki w wykonaniu roli? Miałby się zpyszna, ten śmiałek...

Przyzwyczailiśmy się wreszcie kwe-

styę mody zastosowywać na scenie. Aktor, będący „w modzie“, grał wciąż, występował w rolach możliwych i niemożliwych, odpowiednich, lub nie — wypadłszy „z mody“, stawał się za młodu „weteranem“ i szedł w odstawkę.

Jako zupełny rozbrat z tą metodą, uważać należy system, krzewiony w Krakowie przez p. Pawlikowskiego i przeszczepiony ostatniemi czasy na grunt lwowski.

Nie ma tu przedewszystkiem rozgatunkowania ról. Każda kreacya sceniczna, czyto „bohatera“ sztuki, czy lokaja, wypowiadającego kilka słów tylko, jest stawiana na równi, do każdej przykłada się miarę rzeczywistości i skończoności. Wskutek tego znika zupełnie owe tło szare, anemiczne, czasem maryonetkowe — a zawsze przygważdżające z jednej strony samodzielność młodych sił, w rolach „drugo- lub trzeciorzędnych“ występujących, a z drugiej krzywdzące autora, nie dopuszczając dobitnego zarysowania indywidualności osób na scenie grających. Boć przecież, z wyjątkiem kilku marnych sztukorobów, żaden prawdziwy dramaturg nie tworzy sztuk dla popisania się tej, lub owej osoby? Przeciwnie. Najnowszy dramat cechuje właśnie owe drobiazgowe nawet częstokroć wysuwanie na pierwszy plan i określenie kilku tylko rysami postaci scenicznych, chociaż decydującej roli w przebiegu akcyi nie odgrywają.

W dalszej konsekwencyi następstwem takiego traktowania gry scenicznej jest powściągliwość. Powoli zanikać zaczyna entuzyazm dla „bohaterstwa“ na scenie, tego, co to z całym aparatem zewnętrznych objawów, a czasem bez krzty wewnętrznego przetrawienia myśli, podanych przez autora, pojawiał się wśród groźnego szczęku oręża, rwącego strumienia słów, na czele zgrai statystów.

Obecnie przekwitać poczyna ten kult „bohaterów“; na scenie pragniemy ujrzeć człowieka, zbliżonego możliwie najwięcej do rzeczywistości, wcielającego się w postać, podyktowaną mu przez autora. Stąd to do każdej postaci przykładać poczynamy miarę człowieczą, oglądamy ją przez szkła zwykłe, nie, jak przedtem, powiększające. Dlatego też domagamy się powściągliwości w wydobywaniu efektów zewnętrznych, zbyt jaskrawych, a natomiast potężnienia motywów psychicznych, uzewnętrzniających się następnie w grze.

Metoda ta nie dopuszcza wreszcie podziału ról wedle charakteru człowieka.

A więc znika wyspecyalizowanie się w jednym fachu, zdolność wydobycia na jaw pewnych tylko właściwości natury ludzkiej. Znika zatem rozgatunkowanie artystów na „czarnych“, „tragicznych“, „lirycznych“, „epizodycznych“, „kostyumowych“, mniej lub więcej „naiwnych“, „charakterystycznych“ lub nie i t. d. Pod uwagę bierze się tu nie warunki przypadkowe, zewnętrzne, jeno indywidualność aktora, skłaniającą go do obierania pewnych ról, a omijania innych.

— — — — — — — — — — —

Kontrast ten, zachodzący między pojmowaniem gry scenicznej, na dawniejszej scenie uprawianem, a dzisiejszem, wprowadzonem przez dyr. Pawlikowskiego, ujawiał się od samego otwarcia nowego teatru.

Dokładnie uświadomiłem go sobie podczas przedstawień „Zaczarowanego Koła“ Rydla.

Z dawniejszych aktorów główne role dzierżyli pani Stachowicz i pan Feldmann. (Pan Chmieliński stanowił jeszcze za poprzedniej dyrekcyi wyjątek. Mimo, a właściwie może przez traktowanie tej potężnej siły nieco po macoszemu, pozwolono mu rozwinąć się na ubo czu zupełnie odrębnie, tak, iż nie dostroił się do ogólnego tła, nie został specyalistą od takich a takich ról, nie popadł w manierę.)

Kreacya pani Stachowicz, jako Młynarki w Zaczarowanem Kole, zawierała wszystkie znamiona, które powyżej na karb dawniej u nas uprawianego systemu gry zaliczyłem. A więc chęć ciągłego ogniskowania uwagi widzów na swej osobie, jaskrawość w dobywaniu efektów zewnętrznych, a wreszcie w akcie ostatnim, w scenie obłąkania — popis. To nie było obłąkanie rzeczywistej wieśniaczki, ale sztuczne wcielenie się pani Stachowicz w ubranie wieśniacze. Była to scena a la Sarah Bernhard, lub Karolina Wolter.

Pominąwszy jednak wady, przejęte, że tak powiem, ze „szkoły lwowskiej“, kreacya pani Stachowicz wskutek tego chromała, iż brak jej było jednolitości, zharmonizowania. Bo Młynarka była bądźto naturalistyczna, chwilami nawet z nalotem brutalnego weryzmu, bądźto tak rozliryczniona, słodkawo-sentymentalna, iż niepodobna było przypuścić w jednem ciele tych dwóch, sprzecznych zupełnie pierwiastków. Winą tu znowu owa krańcowość i jaskrawość w przejawianiu momentów psychicznych

Kusemu Feldmana, jako takiemu, nic zarzucić nie można. Ale, mając na oku cały szereg postaci, uzewnętrznionych przez tego artystę musi się dojść do konkluzyi, iż bardzo mało jest tych ról, gdzie Feldman nie jest Feldmanem, ale tą postacią, jaką dany autor stworzył. P. Feldman nie potrafiłby, jak np. Solski, jednego wieczora odegrać Jowialskiego, a drugiego demonicznego Zdżarskiego. Przez obie postacie przewijałaby się indywidualność Feldmana. Winą tu brak objektywizacyi, owego zupełnego zaniku właściwości artysty na rzecz postaci scenicznej.

Zalety systemu, wprowadzonego dopiero na scenę lwowską, najlepszy znalazły wyraz w grze pp. Romana i Solskiego.

Postać Jaśka w Zaczarowanem Kole jest analogiczną z postacią Młynarki. Wewnętrzna strona obu prawie tasama.

A jak wielka była różnica o pojęciu obu postaci między panem Romanem, a panią Stachowicz! Roman był parobczakiem rzeczywiście. Roman wcieliwszy się raz w postać chłopa, nie silił się wcale narzucić widzowi przekonania, iż nim rzeczywiście jest, nie starał się wykazać jaskrawością ruchów, nienaturalnością głosu, iż wielki rozdźwięk panuje między nim — panem Romanem a — parobczakiem Jaśkiem. Praca „pana Romana“ ujawiała się po przód, przed wcieleniem się w postać Jaśka; powoli jego indywidualność wraz z przypływem coraz większej ilości cech charakteryzujących „Jaśka“, topniała na rzecz tegoż tak, iż ze sceny wyzierał tylko ten rozkochany, intrygą szatańską w koło zbrodni wplątany chłopak.

Kreacya pana Solskiego, jako drwala, była wielce charakterystyczną. Dowiodła, że powodzenie na scenie wcale nie jest zależnem od długości roli, że nawet wielu słów nie potrzeba, aby wielkie, nawet dominujące wywołać wrażenie u publiczności. Drwal występuje na scenie dwa razy. Pierwszy raz pojawienie się jego nie jest wcale umotywowanem dotychczasowym przebiegiem akcyi, drugi raz jest koniecznym jej wypływem. Wskutek tego zainteresowanie się publiczności tą osobą podczas pierwszego występu jest prawie minimalnem. Aktor dopiero je wywołać musi. Pan Solski miał tu trudną rolę. A jednak, że od pierwszej chwili, kiedy się na scenie pokazał, uwaga widza skupiała się jakąś nieprzepartą mocą na nim — to tajemnica, na której odcyfrowany jeden tylko wyraz: artyzm z bożej łaski! A kiedy się drugi raz pojawił w scenie indagacyi, widz był już przygotowanym. Ale tu autor znowu okazał się małomownym. Drwal w tej scenie zaledwie kilka słów przemawia. A przecież i milczenie pana Solskiego tak było wielomownem! Te chwile, w których pan Solski jedynie ruchem, lub wyrazem twarzy uzewnętrzniał stany psychiczne drwala — to były prawdziwe lucida intervalla!

Świadomość wnętrznych pobudzeń duszy otrzymujemy bądźto przez działanie, bądź przez słowa i nieartykułowane tony, bądź przez ruchy, minę, wygląd zewnętrzny, bądź wreszcie za pomocą określeń, które słyszymy z ust innych.

A w tym wypadku położenie aktora było niezwykle trudnem. Bo drwal ani nie działa, ani mówi, a z tego, co inni o nim mówią, stanu jego duszy przecież nie poznajemy — jedyną jeszcze drogą, którędy utorować sobie w postaci drwala może uzewnętrznienie stanów psychicznych, jest wygląd, mina, ruchy. A i tu pan Solski z przecudowną intuicyą zacieśnił zakres działania. Drwal zagląda w oblicze śmierci. Budzi się w jego wnętrzu rezygnacya. Przeżywa chwile najintenzywniejsze w całem życiu. A więc ruchy ciała tak się upraszczają, iż niemal zanikają. Tylko w oczach, w tem oknie duszy, koncentruje się cała walka życia ze śmiercią i powolne przeważenie myśli na stronę drugą. Wyrazu tych oczu nikt nie zapomni, kto je raz widział.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(*„Fra Diavolo“. — „Konserwatyzm w muzyce. — „Krytyka muzyczna“. — „Koncerty“.*)

Nietscheańskie „das Olympische“ w muzyce — to opera komiczna. W niej odzwierciedla się najlepiej pierwiastek swobody i wolności duszy, patrzącej na wszystko, co kłębi się i wre na ludzkim padole z uśmiechem łagodnym i nieustannym — chwila wyzwolenia się z rozpacznej otchłani ludzkiego życia i poczucie własnej potęgi.

Dlatego może forma ta muzyczna jest najbardziej trudną do opanowania, dlatego Mozart, stojąc już na szczycie swojej ewolucyi duchowej, w chwilach największego natchnienia, pisze swoje opery komiczne i daje począ-

tek wielu późniejszym, ale bezowocnym usiłowaniom. I z muzyki jego płynie ten cichy czar duszy, za życia już wniebowziętej, wielkiej, natchnionej. Zdaje się nam, że nad istotą naszą zawisło jasne, uśmiechnięte spojrzenie Boga i kołysze ją w takt słońca, rozpylonego po nieskończonych obszarach ziemi, w takt poruszanych wiatrem zbóż i pulsowania ogromnej, a świętej naszej żywicielki — ziemi.

Rozwój opery komicznej jest bardzo ciekawy i w kilku rysach da się dobrze scharakteryzować. Mozart w Niemczech położył fundamenta silne pod późniejszą operę komiczną, a Rossini „Cerulikiem Sewilskim" rozpoczął w krajach romańskich rozwój opery „buffo". Na tych dwóch geniuszach rozpoczęła się i niestety skończyła zarazem świetność opery komicznej. Od tego czasu opera komiczna nie postąpiła ani o krok naprzód. Mozart i Rossini pozostaną niedoścignionymi na tem polu, choć po ich wystąpieniu setki oper komicznych powstawało w Niemczech i we Francyi...

Z całej plejady bezpośrednich następców Mozarta i Rossiniego wybili się bardziej Lortzing, Nicolei, Flotov i Auber. Nie dają oni nic nowego, obracają się w starych formach, ale pewna lekkość, wdzięk i melodyjność jednają im w tym czasie wielkie powodzenie. Auber zwłaszcza, niezwykle płodny, napisał całe mnóstwo oper komicznych, z których jeszcze do dziś dnia zachowały się „Niema z Portici" i „Fra Diavolo".

Ta mania jednak oper komicznych skończyła się prędko. Bezgraniczny pessymizm, nieuleczalny „Weltschmerz" nowszych czasów nie zgadzał się wcale z tą spokojną, wesołą muzyką, opera dramatyczna zapanowała wszechwładnie, doszedłszy już w naszych czasach („Pajazzo", „Cavalleria Rusticana") do największego rozkwitu.

Z nowszych pisa'i operę komiczną w Niemczech: Karol Reinecke, który odznacza się gracyą, delikatnością, naiwnością i bogactwem melodyi, A. Arensen i Ryszard Heuberger; We Francyi: Louis Aime Maillart (naśladowca Herolda i Flotova), Andre Messager (styl „barocco" w muzyce) i Frideric d'Erlanger" (naśladowca Mozarta).

Wszyscy ci jednak, jak i ich poprzednicy, mało oryginalni, nie uczynili nic zgoła dla rozwoju opery komicznej, choć odznaczają się niezwykłą płodnością (Auber ma ich około kilkadziesiąt). Z drugiej strony spaczenie stylu opery komicznej i jej upadek rozpoczyna rozwój operetki, która grasuje do dziś dnia okropnie, wydawszy tylko jednego Offenbacha, co posiada w muzyce naturalną „vis comica" i stworzył, jakby osobny styl operetkowy...

Ogromnie ciekawym jest eksperyment Ryszarda Wagnera na polu opery komicznej. Ten największy pessymista napisał jedną operę komiczną „Meistersingerów" i wywiązał się ze swego zadania świetnie...

Wszechstronność i olbrzymia intuicya tego człowieka zdumiewa... On jeden mógł zrobić wiele dla opery komicznej, która dziś już jest na wymarciu. Z polskich muzyków pokusili się o stworzenie opery komicznej: Mirecki („Nocleg w Apeninach") i Duniecki „Paziowie królowej Marysieńki").

„Fra Diavolo", wystawione na naszej scenie w tym sezonie, wzbudziło wielkie zainteresowanie. Muzyka lekka, wdzięczna, nie wymagająca większego skupienia, podobała się bardzo naszej publiczności. Ci nawet, dla których scena istnieje po to, aby ich bawić i do śmiechu zmuszać, mieli „Dwóch złodziei", którzy już samem pojawieniem się swojem wzbudzają śmiech. Pomimo to jednak, nie mogliśmy się oprzeć pewnemu znużeniu, które było następstwem pewnej monotonii w formach i nadmiernego używania parlando.

Obok rzeczy prawdziwie wdzięcznych, znaleźliśmy w tej operze wiele motywów banalnych w opracowaniu chórów i w akcie I. Czuje się już pewną przepaść między napięciem naszej wrażliwości i żądzą głębszych wzruszeń, a tą spokojną, przestarzałą muzyką.

P. Myszuga nie był zbyt świetny. Partya „Fra Diavolo" nie leży w jego usposobieniu, a niedociąganie tonów wysokich, powstałe, czy wskutek zmęczonego głosu, albo bagatelizowania partyi, nie może się podobać.

P. Merklowa wdzięczną partyę Zerliny wykonała bardzo pięknie. Koloratura jej bardzo wyrobiona, miła, staccata śliczne, mezza voce niezrównane, tylko tryler nieszczególny. Scenę w II akcie odegrała pani Merklowa z ogromnem poczuciem estetycznem.

P. Drzewiecki, straciwszy tremę, był bardzo dobrym i głos jego imponował wysokością swoją i czystem brzmieniem w najwyższych pozycyach. Pp. Paszkowski i Bogucki, Kiczman i pani Kasprowiczowa wprowadzili na scenę wiele ruchu i humoru, a p. Tarnawski dopełnił piękne ensemble.

Wykonanie opery było nadzwyczaj sumienne i staranne. Czuć było wielką pracę przygotowawczą, w szczegółach najdrobniejszych nawet, a p. Czelański najtrudniejsze miejsca wskutek szalonych temp prowadził pewną i energiczną ręką. Maleńka chwiejność w chórach już na drugiem przedstawieniu znikła zupełnie. Jeżeli nasi krytycy muzyczni mieli pewne wątpliwości, co do zdolności dyrygowania operą p. Czelańskiego, to chyba po przedstawieniu „Fra Diavola" powinny one się rozwiać bez śladu. Tymczasem są oni niepoprawni i partyjni. Partya dawnego dyrygenta, wyczerpawszy wszystkie zarzuty na p. Czelańsky'ego i przekonawszy się po pierwszych przedstawieniach o ich bezpodstawności, wzięła się na dziwny sposób. Obwinia p. Czelańsky'ego za to, że jest młody i z argusową skrupulatnością wyszukuje usterek to w akompaniamencie orkiestry, to w przesadzie efektów dynamicznych. Pominąwszy już to, że przez takie postępowanie zniechęca się p. Czelańsky'ego do pracy (a o ile słyszeliśmy od członków orkiestry, pracuje on bardzo, z całem oddaniem i zapałem młodzieńczym), dziwi nas to przeczulenie uszu muzykalnych na punkcie błędów a zimne i konwencyonalne zbywanie rzeczy prawdziwie pięknych. Przecież w tem brak zupełnie równowagi. A dalej, w jaki sposób pisze się u nas recenzye muzyczne! Prócz „Gazety Lwowskiej" i „Słowa" nie znaleźliśmy nigdzie sumiennych sprawozdań. Wszystko zbywa się utartemi frazesami a pod względem stylistycznym okazuje się lekceważeniem i przedmiotu o którem się pisze i tych, którzy mają sobie podług recenzyi wyrobić pewne zdanie o muzyce. O ile wyżej stoi pod tym względem krytyka warszawska!

* * *

Tydzień ubiegły obfitował może zanadto w koncerta. W ten sposób możemy sobie tylko wytłumaczyć zupełny brak większego zainteresowania się i udziału publiczności.

W poniedziałek odbył się koncert pana Armina Toepfera, profesora z Bukaresztu. Koncertant odegrał z wielką brawurą utwory Liszta, Tausiga i Rubinsteina, okazując rutynę, piękne frazowanie i cudowne prowadzenie cantileny, które nas, zwłaszcza w piosnce Carmen Sylvii, zachwycało. Szkoda tylko, że program składał się z utworów brawurowych o małej wartości artystycznej. W koncercie wzięły udział p. O. Rybak (śpiewaczka) i p. K. Gąsiorowska (wiolinistka). P. Rybak, uczenica p. Camillowej, posiada piękny, dźwięczny, wyrównany głos, którym włada lekko, ze zrozumieniem i z wrodzoną widocznie muzykalnością. Szczególnie podobały się wykonane śliczne po raz pierwszy we Lwowie pieśni Griega i dodana na bis misterna piosnka E. Waltera. P. Gąsiorowska, to talent ogromny, nadzwyczajny i szlachetny, a gra jej daleka już od dyletantyzmu ma w sobie wielki czar i siłę porywającą. Melodyę prowadzi pięknie, a nadzwyczajna muzykalność i intuicya artystyczna w połączeniu z bajecznym temperamentem i opanowaniem techniki wróżą jej przy dalszych jeszcze studyach ogromną przyszłość. Radzimy jednak kontynuować dalej studya, bo szkodaby było tej istoty pięknej, która rwie się całą duszą młodzieńczą do sztuki.

* * *

Lillian Sanderson, sławna śpiewaczka koncertowa, dała w środę koncert ze współudziałem pianisty Zulaufa. Był to wieczór bardzo piękny o wielkiej wartości artystycznej. Pani Sanderson posiada pełny, szlachetny alt, którym włada świetnie, a w piosnkach wymawia słowa wyraźnie i deklamuje cudownie. Pieśni Szumana i Reineckego właśnie wskutek tej świetnej dykcyi pozostawiają po sobie w jej wykonaniu wielki czar. P. Zulauf akompaniował niezrównanie, a jako solista, wykazał wiele techniki, ale mało śpiewności i piękności tonu.

Katedra św. Jana w Warszawie.

W zeszycie dzisiejszym zamieszczamy podobiznę tyle drogiego sercom polskim archikatedralnego kościoła w Warszawie.

Jak wszystkie prawie kościoły nasze, tak i katedra warszawska zbudowana była z drzewa, w połowie XIII. stulecia. Po pożarze, który zniszczył świątynię w r. 1261, odbudowanie jej, już z muru, szło powoli, gdyż dopiero zakończył mury w rozmiarze, w jakim je dziś widzimy i pokrył je dachem Janusz, książę warszawski, w r. 1390. Siostra ostatnich książąt mazowieckich — Stanisława i Janusza — Anna, sprawiła piękną posadzkę marmurową i wystawiła wysoką wieżę, zaopatrując przytem bogato skarbiec i zakrystyę w kosztowne dary, które powiększyły się następnie, dzięki ofiarności królowych: Bony i córki jej Anny, żony Stefana Batorego. W roku 1632 sztraszliwa burza zniosła wieżę i dach, oraz zwaliła boczne sklepienie. Panujący wówczas Zygmunt III. naprawił swoim kosztem poczynione szkody i jako pan pobożny i ćwiczeń duchownych często zażywający, urządził kryte przejście z katedry do zamku królewskiego, aby tam łacniej mógł, bez względu na pogodę, ulubioną sobie świątynię nawiedzać. Syn Władysław IV., ukończył budowanie frontu i kościół, zaopatrzony już przez ojca we wspaniałe organy, kosztowny wielki ołtarz i piękne obrazy, posągami świętych przyozdobił. Z biegiem czasu tyle dobudowano kaplic do świątyni i tak ją zatłoczono nagrobkami, że zatraciła cały charakter architektoniczny. Dopiero budowniczy Adam Idzikowski dokonał restauracyi katedry między 1836 a 1840 latami i doprowadził do stanu, w jakim ją widzimy dzisiaj.

Bardzo piękne stalle po obu stronach presbiteryum fundował król Jan III. Sobieski. Robota snycerska jest bardzo kunsztowną.

Nowszą ozdobą, bo powstałą między rokiem 1836 a 1840 jest ambona. Rysunek jej w stylu ostrołukowym sporządził Piotr Vischer, wypracował zaś profesor szkoły sztuk pięknych w Warszawie, Konstanty Hegel. Na żelaznych słupach oparta, stoi wykuta z ciosu i otoczona postaciami dwunastu apostołów. Ponad nią unosi się rzeźbiony z drzewa nadgłównik, uwieńczony posągiem „Religii".

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyezkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Premjowanie

własnych zbiorów I. kl wina Hegelaja — **Szamorodne**, a mianowicie: **stare kuracyjne TOKAJE** —ordynowane przez **najpierwsze** powagi lekarskie **wedle świadectw** — rozbierane w Paryżu przez pierwszych specyalistów z współdziałem przezacnego Pr. Gałęzowskiego, otrzymały najwyższe premie — zaszczycone używaniem przez Najdost. Arc. Salwatorów — Jego Ex. Arcyb. Issakowicza — ś. p. exprezyd. Smolkę i u wybitnych osobistości są do nabycia u właścicielki

Anny Neupauer

we Lwowie

ul. Kochanowskiego l. 6.

Najwyborniejszych

½ klg. **Cukrów deserowych** 1 zł. 20 ct.

½ klg. **herbatników 80 ct.** do 1 zł.

oraz Czekoladę i Cacao

poleca codzień świeże

H. TRETER

parowa fabryka czekolady

Najtańszy

Magazyn Towarów bławatnych

F. Korneckiego i Sp.

(Pasaż Hausmana)

poleca w wielkim wyborze

MATERYE NA SUKNIE

Płótna, Chiffony, Pledy i t. p.

Losy przegląda zupełnie bezpłatnie **kantor wymiany WIKTOR CHAJES i Spka**, Lwów, ulica Syktuska l. 8. Marka na odpowiedź. Losy na raty. Gdziekolwiek zastawione losy wykupuje się, dopłaca do pełnej wartości kursowej i te same losy odsprzedaje na dogodne raty miesięczne.

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Handel A. Hawełki

Kraków

poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.

Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.

Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.

Najnowsze materye meblowe

FIRANKI — PORTIERY — DYWANY — CHODNIKI

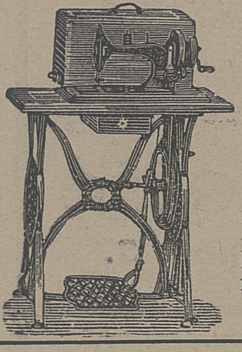
i wszelkie inne w zakres urządzenia domowego wchodzące przedmioty

otrzymał i poleca najtaniej

SKŁAD FABRYCZNY

FILIPA HAASA i Synów

we Lwowie, ul. Jagiellońska.



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.

KAROLA HAUSWALDA

w Stanisławowie

poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe.

KANTOR WYMIANY

BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej.

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Biura Związku gal. producentów

„ROPY“

stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką

znajdują się

we Lwowie, ul. Chorążczyny l. 17.

(Dom naftowy) I piętro.

Zarząd Hotelu Szwajcarskiego

ul. Batorego l. 20. poleca Szanownej P. T. Publiczności pokoje umeblowane z komfortem od 60 ct. do 2 złr.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.